Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 28 marca 1937 r. Nr. 13

Zmartwychwstał Pan!

Rozkołysały się dzwony
Rankiem pogodnym o świcie:
Zmartwychwstał Pan! Alleluja!
Przywrócił wszystko do życia.

Zmartwychwstał Pan! Alleluja!
Wieszczą nam dzwony rozgłośnie
I serca biją ich rytmem,
Jak dzwony biją radośnie.

Niech odgłos dzwonów w dal leci,
Niech każdy radość odczuje —
I pieśń zaśpiewa radosną:
Zmartwychwstał Pan! Alleluja!

Celina Lewandowska.



24)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Przy sobie nie mam — odpowiedziała młoda kobieta trwożliwie. Ale zapłaciłabym zaraz, jakbyśmy tylko dojechali do domu.

— Ha, ha! — zaśmiał się dorożkarz szyderczo — znamy się na tym! Nie, nie kotku! Ja tego rodzaju osoby zawożę tylko wtedy, gdy naprzód płacą, bo później to już przepadło!

Podczas, gdy znużona młoda kobietka starała się wyperswadować nieufnemu dorożkarzowi, że zapłata go nie minie, zbliżyło się towarzystwo młodych, elegancko ubranych mężczyzn, rozgadanych i roześmianych.

Wracali widocznie z nocnej birbantki i chcieli ciężkie od wina głowy odświeżyć w chłodzie porannym.

— Patrzcie! — zawołał jeden z nich do swoich towarzyszy, wskazując na młodą kobietę rozmawiającą jeszcze z dorożkarzem — co za ładne dziecko! Chodź aniołku, dam ci na kapelusz, bo zdaje się, że nie masz żadnego!

Przystąpił do niej zuchwale i chciał ją pogłaskać po jasnej główce, ale ona wywinęła mu się z okrzykiem przerażenia.

W tej chwili jeden z panów popatrzył bystro na nią i okrzyk zdziwienia wymknął się z ust jego.

— Na miłość Boską, Hortensjo, łaskawa pani — zawołał przerażony — skąd się pani tu wzięła o tej godzinie i...

W tym ubraniu — chciał dodać, ale nie dodał tej uwagi.

— O, panie Feldern, ujmij się pan za mną! — błagała go Hortensja.

— Damę tę biorę pod moją opiekę — wyrzekł asesor Feldern z godnością, zwracając się do swych towarzyszy — biada temu, który jej czymś uchybi!

Panowie patrzyli ze zdziwieniem to na Felderna, to na młodą kobietę, która wydawała im się podejrzaną, ale powaga Felderna była tak wielką, że żaden z nich nie odważył się na szyderczą uwagę.

Zdjęli tylko z trochę ironiczną uprzejmością kapelusze na pożegnanie i odeszli.

— Dokąd pani chce jechać? Czy mieszka pani jeszcze w swym starym mieszkaniu? — spytał Feldern Hortensję uprzejmie, ale z powagą.

— Mieszkam obecnie u swego ojca, przy ulicy Franciszkańskiej 9 — odpowiedziała Hortensja z pokorą.

Asesor otworzył drzwiczki powozu i pomógł młodej kobiecie wygodnie usadowić się. Powiedział dorożkarzowi adres, a ten nie wahał się teraz ani na chwilę, aby odwieźć Hortensję.

Feldern zaś stał przez chwilę zamyślony przy drzwiczkach; widocznie zastanawiał się nad tym, co ma zrobić.

— Jeśli pani pozwoli, to panią odwiozę — rzekł po chwili poważnie. Usiadł obok niej, a dorożka ruszyła szybko z miejsca.



Wielkanocny gość — szary zajączek — z wizytą u małej Basi...

— O, panie Feldern! — zawołała Hortensja wzruszona — jak mam panu podziękować za przyjaźń, którą mi pan wyświadczył? Uwolnił mnie pan od niemiłych towarzyszy i uwolnił od przykrej troski, jak się najbezpieczniej dostać do domu.

— Hortensjo! — zawołał Feldern wzruszony — w jaki sposób znalazła się pani tutaj? Niech mi pani opowie wszystko z zaufaniem.

— Z chęcią — zawołała Hortensja — bo wiem, że nie zawiodę się na panu tak strasznie, jak na księciu Iffalwim.

— Jak to? — krzyknął Felern przerażony — czy pani zna księcia Iffalwiego, tego wyuzdanego hulakę? Jeżeli on się do pani zbliżył, to tylko w złych zamiarach.

— Istotnie, postąpił wobec mnie bardzo podle — powiedziała Hortensja. — Pana uważam za brata, panie Feldern i niczego przed panem nie ukryję. Książę wkradł się w nasz dom i swym czarującym zachowaniem ujął mnie i ojca. Uważaliśmy go za prawdziwego przyjaciela, ale wkrótce okazał się, że nie jest wart tego. Kazał mnie bowiem uprowadzić gwałtem do samotnego domu, oddalonego o kilka mil od Wiednia. Niebawem zjawił się tam i zaczął mi czynić wyznania miłosne. Tylko Bóg wyratował mnie z jego mocy. Szczęśliwy zbieg okoliczności, że udało mi się uciec z tego strasznego domu. Biegłam wśród ciemności nocy, przez błota, których dużo na gościńcu i z nóg już upadałam, kiedy pan przyszedł mi z pomocą.

— Bóg był z panią — rzekł Feldern wzruszony. — Ale jak to było możliwe, że książę wkradł się w łaski państwa? Czy Waldau nie zna jego reputacji i nie przeniknął jego bestialskich zamiarów?

— Nie widziałam męża swego od owego nieszczęsnego dnia, który pan zapewne dobrze pamięta — odpowiedziała Hortensja bezdźwięcznym głosem.

Nastąpiła cisza, której Feldern nie śmiał przerywać. Wreszcie dorożka zatrzymała się.

— Jesteśmy na miejscu, proszę pani — rzekł asesor wreszcie — czy chce pani pozostać w powozie, podczas, gdy ja zadzwonię, aby pani bramę otworzono?

Hortensja skinęła potakująco głową. Asesor zadzwonił. Wkrótce zjawił się stary służący.

— Luigi! — zawołała Hortensja — jak się ma mój ojciec? Czy bardzo był o mnie zaniepokojony?

— O, signore — rzekł Luigi, okrywając ręce i suknie jej gorącymi pocałunkami — takeśmy się tu o signorę niepokoili! Przez całą noc szukaliśmy, byliśmy na policji i wszystko daremnie. Teraz właśnie wrócił mistrz śmiertelnie znużony do domu i zdrętwiały z bólu udał się do swej pracowni.

— Biegnę do niego natychmiast — krzyknęła Hortensja. — Nie dziękuję panu, spodziewam się, że da mi pan wkrótce sposobność, abyśmy panu serdecznie podziękowali. Mój ojciec będzie się ogromnie cieszył, gdy pana u siebie zobaczy.

Feldern mruknął kilka słów akceptujących zaproszenie, ale był tak widocznie uderzony, tym, co słyszał, i zdziwienie to odmalowało się na jego twarzy, że Hortensja odeszła, nie rzuciwszy mu nawet kilka słów wyjaśnienia.

— Uważał mnie pan zawsze za sierotę — rzekła poważnie — ale Bóg zlitował się nad moją samotnością i zesłał mi ojca. Przez szczęśliwy przypadek odkrył mistrz Gellini, że jestem jego córką i odtąd obsypuje mnie miłością i dobrocią.

Uścisnąwszy przyjacielowi jeszcze raz na pożegnanie rękę, wbiegła szybko do domu.

Asesor patrzył za nią, pogrążony w głębokiej zadumie.

Z największą pogardą myślał o Leonie i gniew go ogarniał na jego niesumienne postępowanie.

Z drugiej zaś strony był zadowolony, że przez tę okoliczność znikły wszelkie zapory, dzielące go od Hortensji. Jej mąż opuścił ją i obszedł się z nią niegodnie, więc na tle tego odbija się jakoś korzystniej jego bezinteresowna miłość.

Aż do chwili obecnej trzymał się Feldern z dala od Hortensji, ze względu na to, aby w stosunek małżonków i tak już zachwiany, nie wnosić jeszcze więcej dysonansów.

Teraz jednak wszystkie te względy upadły.

Nagle głos dorożkarza, upominającego się o zapłatę, wyrwał asesora z zadumy.

Feldern wsiadł więc na powrót do powozu i podawszy dorożkarzowi swój adres, oddał się znów fantastycznym marzeniom o szczęściu miłości.

Tymczasem Hortensja biegła tak szybko, jak tylko na to znużone jej nogi pozwalały, po schodach na pierwsze piętro do pracowni swego ojca.

Gdy weszła, mistrz nie spostrzegł jej. Siedział on w głębokiej zadumie i rozpływał się w swym ogromnym żalu. Hortensja przypatrywała się ze wzruszeniem.

— Jak on musi mnie gorąco kochać — myślała — jeżeli nieobecność moja tak go mocno zasmuciła.

— Mój ojcze kochany — szepnęła cicho w języku włoskim, który mistrz kochał nade wszystko.

Spojrzał i z okrzykiem szczęścia ujął w ramiona odnalezioną córkę.

Długo tak trwali, aż wreszcie zapytał o powód jej nieobecności.

Młoda kobieta opowiedziała ojcu przejścia strasznej nocy. Szlachetny starzec wzdrygał się na myśl o bezdennej podłości, kryjącej się pod czarującymi manierami księcia. Gdy jednak usłyszał z ust córki, że widok medalionu i zawartych w nim portretów sparaliżował księcia i zmienił jego namiętne zabiegi w szalony gniew i przerażenie — domyślił się Gellini powodu tej nagłej zmiany księcia.

— Czy to możliwe? — krzyknął zrozpaczony — ten rozpustnik miałby być mężem Irmgardy? I jego, który musi być moim śmiertelnym wrogiem, mogłem gościć u siebie? Siedzieliśmy zgodnie obok siebie i żadne przeczucie nie powiedziało mi, że natura i kodeks moralności wzniosły między nami nieprzebyte zapory? Niech będzie pochwalony Wszechmogący Bóg, który cię dziecko moje, uratował z rąk tego niegodziwca! Módl się, módl za nieszczęśliwą twą matkę i proś, aby Bóg Łaskawy wziął ją w Swoją opiekę! Biedna Irmgarda! Drżę o nią! Jak gorzko ona teraz cierpi, jak okrutnie odpokutuje swoją winę, skoro okrutny jej małżonek o wszystkim się dowiedział.

Gellini pogrążył się w ponurym milczeniu.

Tak wzniosłą i świętą była miłość tego człowieka, tak pełna zaparcia się jego dusza, że teraz jeszcze, po tak wielkiej obeldze, jakiej doznał ze strony ukochanej, lgnął jeszcze do niej z całym oddaniem się lat młodzieńczych.

Całe jego życie wypełnione było tą pierwszą i jedyną miłością, był jej wierny aż do grobu.

ROZDZIAŁ XCI.

Godziny udręczenia

Pociąg pędził szybko przez okolicę, rozzłocą ją szatą jesienną.

W wagonie drugiej klasy siedziała skulona w kącie milcząca dama, której twarzy nie było widać z poza gęstego welonu.

Dwie grube żydówki siedziały w tym samym przedziale, szwargocąc nieustannie i spożywając wiezione ze sobą zapasy żywności.

Od czasu do czasu starały się wciągnąć obcą damę do swej rozmowy, ale ona odpowiadała tak lakonicznie, że rozmowne kobietki dały jej wreszcie spokój.

Nieznajoma zaś czując się skrępowaną swym przygodnym towarzystwem, wstała i podeszła do okna. Gdy się wychyliła, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, wiatr odwinął jej welon i ukazała się na jej bladej twarzy krwawa, czerwona blizna.



Wyrób Zakładów „Persil" Polska Spółka Akcyjna, Bydgoszcz.

Księżna ułożyła plan swej ucieczki z wielkim rozmysłem. Nie chciała ona jechać pierwszą klasą, aby zmylić z tropogoń i kupiła bilet do dalekiej stacji, na której nie miała wcale zamiaru zatrzymywać się. Postanowiła też jak najmniej rzucać się ludziom w oczy.

A kiedy już sądziła, że jest zabepieczoną przed pogonią, opuściła ją energia umysłu.

Opanowało ją jakieś bezdenne przygnębienie.

Nadeszła dla niej jakaś przełomowa chwila życia. Uprzytomniła sobie, że zrezygnowała ze wszystkiego: stanowiska, bogactwa, zaszczytów i nadziei odzyskania wzajemności uczuć ze strony Beli.

Czekało ją nędzne życie, gdzieś w ukryciu i beznadziejnej rezygnacji. — Wprawdzie uśmiechała się nadzieja, że gdzieś tam może żyje jej córka, ale równocześnie ciężyła myśl, że Hortensja, która jest już obecnie dorosłą i myślącą dziewczyną, przyjmie teraz jej macierzyńską miłość.

Biedna Irmgardo! Ze zgrozą przekonałaś się, że nie ma winy bez kary. Kto grzeszy, staje się zabójcą swego szczęścia.

Pociąg zatrzymał się na stacji, na której Irmgarda miała wysiąść. Z trwogą rozglądała się, czy nie ma gdzieś w pobliżu szpiega książęcego.

Nikt ją jednak nie zaczepiał.

Uspokojona siadła w poczekalni i kazała sobie podać coś orzeźwiającego. Po krótkim odpoczynku wyszła wynająć furmankę, która miała ją zawieźć do osady Fellhuberów.

Furman żądał wysokiej zapłaty, gdyż jak mówił, trzeba było bardzo kołować, bo powódź w sierpniu zerwała pewną część gościńca i narobiła strasznych spustoszeń w całej okolicy.

Księżna usłyszawszy to, zbladła.

Jak wiele kobiet, tak i ona nie czytała gazety i dlatego nie wiedziała, co się dzieje na szerokim świecie.

— Czy woda spowodowała dużo nieszczęścia? — zapytała, pełna trwogi.

— Ho, ho — opowiadał woźnica — zerwała pięć domów, zabrała dużo z trzody i kilku ludzi.

Widocznie do tego ostatniego przywiązywał jak najmniej wagi.

Straszna trwoga opanowała serce Irmgardy. Kto wie, czy i jej córka nie zginęła? Boże, czyż miałaby zamiast w jej objęciach, spocząć na jej grobie?

— Wszechmocny Stwórco! — błagała złamana na duchu — bądź miłościw mnie grzesznej! Nie doświadczaj mnie tak ciężko.

Chcąc dowiedzieć się czegoś konkretnego, przyrzekła woźnicy wysokie wynagrodzenie, jeżeli jak najprędzej zawiezie ją na oznaczone miejsce.



Król grecki Jerzy II, odbył ostatnio podróż po wyspach greckich. M. in. zatrzymał się na wyspie Krecie, gdzie go powitały owacyjnie piękne Kretenki.

Im głębiej wjeżdżała w góry, tym więcej widziała śladów powodzi. Serce jej ściskało się na myśl, że na takie wielkie niebezpieczeństwo naraziła własną córkę. Jeżeli Hortensja zginęła, to tylko ona jest winną jej śmierci. Dręczona wyrzutami sumienia, znalazła się wreszcie we wsi.

Drżąc, zeszła z wozu i z trudem zaczęła porozumiewać się z przechodniami, gdyż narzecze tej okolicy było jej zupełnie obce.

Po minach i gestach wreszcie zrozumiała, w której stronie leży szukany przez nią dom i z przerażeniem, które jej prawie odbierało zmysły, zobaczyła, że dom Fellhuberów stał zniszczony i zupełnie wymarły.

Więc czyżby naprawdę obawy jej się sprawdziły? Zdawało jej się, że zemdleje. Podtrzymała ją myśl, że może jednak mieszkańcy tego zniszczonego domu uratowali się jakimś cudem.

Zobaczywszy pracujących na polu ludzi, zapytała ich:

— Czy to jest dworek Fellhuberów?

— A czyj by miał być? — odpowiedziała jakaś dziewucha z zuchwałą miną, która wydała się księżnej nie sympatyczną, ale, że ta dziewka mówiła zrozumialej niż inni, dała więc jej jakąś monetę i dopytywała się dalej o Fellhuberów.

— Utonęli — odpowiedziała lakonicznie młoda dziewczyna.

Mróz przeszedł po ciele księżnej.

— A córka? — spytała, ledwie mogąc dobyć głosu.

— Ta idiotka? — zawołała dziewka ze wstrętnym śmiechem — nie taka ona głupia jak o niej mówili! Wyjechała stąd z jakimś przystojnym panem.

Ciężar spadł z serca księżnej.

Z ohydnych ust dziewki, w ohydniejszej jeszcze formie podana wieść o życiu jej córki, wróciła jej siły. Wiedziała o tym, że nie trzeba brać dosłownie ordynarnych słów dziewki, która wszystkich mierzy swoją miarą i zwróciła się na probostwo, aby się dowiedzieć bliższych szczegółów.

Proboszcz uprzejmie powitał dystyngowaną damę i na jej oświadczenie, że jest zmuszona zabrać mu kilka chwil czasu, odpowiedział:

— Proszę, niech pani pyta, jestem na jej usługi.

Na pierwszy rzut poznał w niej bowiem damę z najwyższej arystokracji.

Irmgarda podziękowała mu za uprzejmość i zapytała o Fellhuberów i ich tragiczną śmierć.

— Muszę niestety, potwierdzić tę smutną wiadomość — odpowiedział proboszcz.

— Ale córka ich nie uległa chyba temu strasznemu losowi? — pytała dalej drżącym głosem.

W księdzu obudziło się w tej chwili dziwne przypuszczenie, które postanowił sprawdzić.

— Skoro panią to interesuje, — rzekł powoli — to powiem pani, że życie Hortensji Fellhuber było łańcuchem tajemnic i intryg. Czy chce mnie pani posłuchać? — spytał.

Patrzał na nią przenikliwie, ale nie widział wyrazu jej twarzy, gdyż krył ją gęsty welon.

— Proszę — rzekła cicho.

— Rzekomi jej rodzice mówili o Hortensji, że jest idiotką i zamykali ją pilnie w domu. Mimo to młoda i bardzo piękna dziewczyna potrafiła zawrzeć znajomość z turystą, który tutaj bawił przypadkowo — człowiekiem z lepszego towarzystwa. On to właśnie, gdy Fellhuberowie utonęli, uratował Hortensję od śmierci i wtedy wyjaśniło się, że jest ona umysłowo zupełnie zdrową.

Fellhuberowie musieli więc kłamstwo to podawać z ważnych jakichś przyczyn, prawdopodobnie na wyraźny rozkaz z góry. Arystokratyczna piękność Hortensji i jej starożytna biżuteria, którą posiadała, wskazywała na to, że jest ona nieślubnym dzieckiem jakiejś wielkiej damy. Ona jednak utrzymywała, że rodzice jej dawno już nie żyją. Nie wnikałem też w to, skoro ani ona, ani jej narzeczony, nie przykładali do tego wielkiej wagi. Spełniłem tylko obowiązek kapłański i dałem im ślub przed ołtarzem Pańskim. Po ślubie Hortensja wyjechała z wioski pod opieką swego męża i przyjaciela. Co się dalej z nią stało, nie mogę pani powiedzieć, chociaż, jak widzę bardzo to panią interesuje.

Księżna udała, że ostatnich słów nie słyszy. Uprzejmie, ale zimno podziękowała księdzu i zapytała jeszcze:

Czy przewielebny ksiądz mógłby mi powiedzieć nazwisko jej męża?

— Zapomniałem, ale chętnie zajrzę w księgi kościelne?

Będę bardzo wdzięczna księdzu proboszczowi.

Ksiądz wyszedł i wrócił za chwilę z otwartą księgą, którą podał księżnej.

Irmgarda przeczytała krótką notatkę:

Leon Waldau, syn cesarskiego radcy wojennego Maksa Waldaua i małżonki jego Konstancji, z domu von Böhnen, przynależny do Wiednia, zaślubiony z Hortensją, rzekomą córką Marcina Fellhubera i małżonki jego Adelajdy, z domu Metzner.

Data była 27 sierpnia tego samego roku.

Księżna zapamiętała sobie nazwisko zięcia, podziękowała księdzu za informacje, złożyła kilka złotówek dla ubogich gminy i odeszła, pozostawiając księdza niezadowolonego, że się nic nie dowiedział.

Nadzieja rychłego uściśnięcia córki dodała księżnej sił. Postanowiła szukać ją tak długo, aż jej nie znajdzie. Zawróciła jeszcze do karczmy, aby i tam dowiedzieć się czegoś o Hortensji.

Była to ta sama gospoda, w której mieszkał Leon i księżna z nieznanym do tej pory uczuciem słuchała opowiadań karczmarki o piękności i dobroci swej córki.

Nie dowiedziała się jednak o tym, dokąd się udała młoda para.

Karczmarka sądziła, że pojechali do Wiednia, ale również możliwym jest, że znajdują się jeszcze gdzieś w okolicy. Najlepiej będzie dowiedzieć się o miejscu ich pobytu od panny Sylwii Horbert, która na dziesięć mil dokoła przeszukała okolicę za zaginionym narzeczonym.

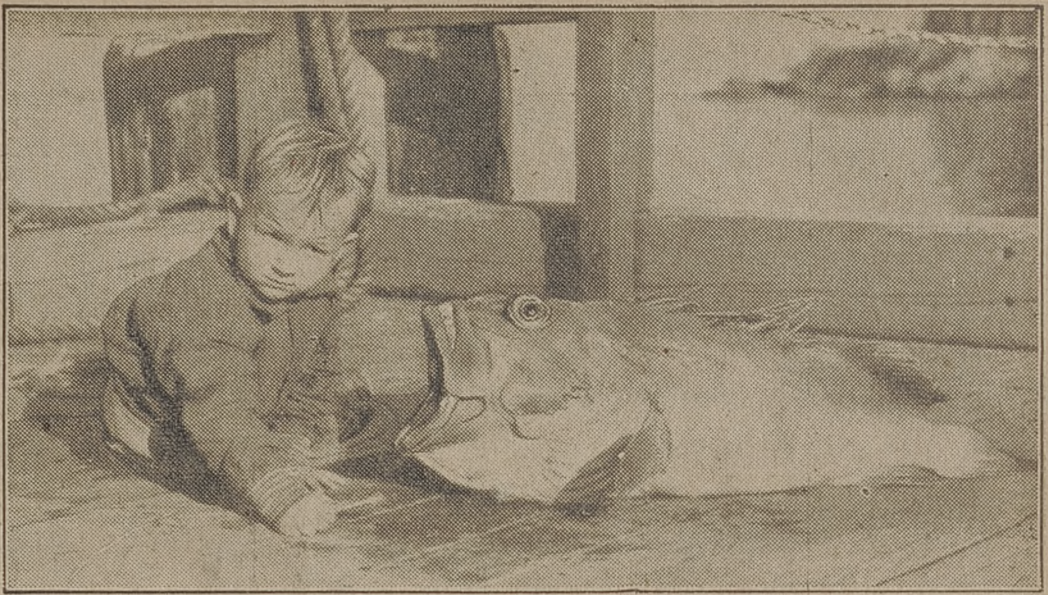
Księżna natychmiast wsiadła na wóz i kazała się wieźć do Königswalden, pełna niewytłumaczonej trwogi i równocześnie błogiej nadziei.

ROZDZIAŁ XCII.

Świat chce być oszukiwany

Najrozsądniejsi ludzie układając plany, mogą przeoczyć ważne przeszkody w ich wykonaniu.

Tak też się stało naszemu przyjacielowi Moszkowi.



Zdawałoby się, że ryba, widoczna na zdjęciu, połknie chłopca, na którego tak złowrogo patrzy. Potworka tego złowiono na zachodnim wybrzeżu amerykańskim.

Plan jego, by cichaczem przetransportować płótno z leśniczówki, nie udał się, bo nie było odpowiednich pak, do których by te cenne płótna można było złożyć.

Herbert chciał sprowadzić je z miasta, ale Moszko stanowczo się sprzeciwił.

— Ja nie wiem — mówił — na co panu potrzeba tyle pieniędzy, ale po cóż inni ludzie mają sobie nad tym łamać głowy.

— Macie rację! — odpowiedział leśniczy.

— Niech pan zostawi płótno tutaj, ja po nie przyjdę za kilka dni.

Rzeczywiście za kilka dni przyjechał z jakimś woźnicą o głupiej minie i gdy któryś z gajowych do niego przemówił, powiedział:

— Z nim nie ma co gadać, bo on jest głuchoniemy.

Na wozie miał trzy duże paki i prosił, aby mu je przechować, bo są w nich cenne towary i mówił, że na przeniesienie jednej trzeba czterech ludzi.

Sylwia uprzejmie powitała żyda, ale wyglądała zdziwiona. Gdy służba wyszła z pokoju, wytłumaczył jej:

— Panienka się dziwi, że ja przywiozłem pełne skrzynie, a nie próżne? A przecieżby się ludzie bardzo dziwili, gdybym przywiózł próżne, a wywiózł pełne skrzynie.

— A cóż tam jest w środku?

— Kamienie.

— A co my z nimi zrobimy?

— W nocy zaniesiemy do rzeki.

Ale po cóż tak tajemniczo? — zapytała Sylwia — przecież nie robimy nic złego, abyśmy musieli się z tym kryć.

— Ojcu panienki byłoby nieprzyjemnie — tłumaczył Moszko — gdyby cały świat wiedział, że jest w kłopotach pieniężnych. Na co mu tych nieprzyjemności!

Sylwia uspokojona zgodziła się już na wszystko.

— Czy kto wie o tym, że pani leśniczyna płótno sprzedaje? — zapytał Moszko.

— Tylko Katarzyna.

— Na nią można liczyć — rzekł Moszko — a teraz idę do wsi, gdzie mam odebrać pieniądze. Wrócę dopiero wieczorem.

Oddalił się spiesznie i wrócił rzeczywiście dopiero późnym wieczorem, gdy już wszyscy, prócz Sylwii i Herberta, głęboko spali.

Otworzył starannie zabite skrzynie i poprosił o mały wózek.

— Na co wam? — zapytał leśniczy.

— Co znaczy na co? — odpowiedział Moszko — ja potrzebuję zawieźć kamienie do pobliskiej rzeki.

— Nie podobają mi się te nocne tajemnice, muszę jednak przyznać, że znacie lepiej ludzi, niż ja, więc też na wszystko zgadzam się.

— Nie pożałuje pan dobrodziej — zapewniał poczciwy Moszko — w życiu nie zawiodłem jeszcze niczyjego zaufania.

Leśniczy wyciągnął z szopy wózek i z pomocą Sylwii zaczął napełniać go kamieniami. Do rzeki było niedaleko, powrzucali więc kamienie do wody i po krótkim wypoczynku wrócili po drugi transport.

W ten sposób wypróżnili wszystkie skrzynie.

— Teraz możemy pakować płótno — rzekł Moszko — ręce umyłem już sobie w rzece.

Gdy Sylwia podeszła z kluczami do szafy, zobaczył Moszko, że ma ręce zakrwawione i nie mógł wyjść z podziwu, że piękna dziewczyna nie poskarżyła się.

Inna panienka — mówił — jak się szpilką ukłuje, to zaraz narobi krzyku.

Sylwia uśmiechnęła się.

Jak mały był ten ból w porównaniu z tym, co już zniosła i chętnie by jeszcze znosiła dla Wernera.

— Ale co teraz będzie? — spytał Moszko — pan leśniczy nie potrafi mi pomóc w pakowaniu, a panienka poplamiłaby płótno krwią.

— Zbudzę Katarzynę — rzekła Sylwia i podeszła do kuchni, gdzie cicho zawołała na służącą.

Czujna staruszka zerwała się natychmiast z lekkiego snu.

— Co? — spytała — może pani, broń Boże, zachorowała?

— O, nie, tylko ja potrzebuję twojej pomocy — odparła Sylwia.

— A co panience potrzeba? — spytała staruszka, naciągając pończochy.

— Pomożesz Moszkowi pakować płótno — odparła Sylwia, nie wiedząc o tym, że w ten sposób sprowadzi burzę na siebie.

— A to skaranie Boże — zawołała gniewnie Katarzyna — to ja przez 16 lat przędłam cieniutkie nitki i robiłam najcieńszą przędzę dla panienki, aby potem to wszystko przeszachrować żydowi? Jeszcze do tego w nocy mam wstawać, aby mu pomagać pakować? A niech sobie poganin sam pakuje.

— Nie byłabym cię budziła — odpowiedziała jej Sylwia — ale ja nie mogę mu pomóc, bo patrz, ręce moje krwawią.

— O Boże! — zawołała Katarzyna — a cóż to się stało?

Rzuciła się, aby zabandażować Sylwii ręce. Czyniąc to, lamentowała.

— To nic — uspakajała ją Sylwia — to się zagoi za kilka dni, zdarłam tylko skórę.

— A gdzież to panienka tak się pokaleczyła? — spytała Katarzyna.

— Skrzynie były napełnione kamieniami — odpowiedziała Sylwia — pomagałam Moszkowi wrzucać je do rzeki.

— A nie mogła panienka mnie zbudzić? — robiła jej wyrzuty Katarzyna.

Gderając i mrucząc, ubrała się wreszcie i z miną pogrzebową pomagała Moszkowi pakować płótno.

Za każdym kawałkiem jęczała żałośnie, a gdy już szafa była wypróżniona, stanęła przed nią zapłakana i mruczała żałośnie:

— Siedemnaście lat pracować po to, ażeby praca ta poszła na marne.

— Pociesz się, Katarzyno tym — mówiła jej Sylwia — że za pieniądze, które dostanę za płótno, osięgnę cel mego życia i szczęście, którego szukam.

— Dałby Bóg — odpowiedziała wierna sługa — choć ja tego nie rozumiem.

Moszko zabił tymczasem wieka skrzyń.

— Jestem zawsze w dobrym humorze, jeżeli się spracuję tak, że jestem zmęczony — zapewniał — dziś będę spał wybornie.

— Właśnie mnie to dużo obchodzi, czy on będzie spał, czy nie — gderała Katarzyna, patrząc ze złością na Moszka, którego uważała za przyczynę nieszczęścia.

— Idź spać Kasiu! — upominała ją łagodnie Sylwia. — Odprowadzę cię do łóżka, bo mam ci jeszcze coś ciekawego do powiedzenia.

Odprowadziła ją do komórki, w której spała i tam wtajemniczyła ją we wszystkie plany.

— Widzisz zatem, żeś była dla Moszko bardzo niesprawiedliwa — rzekła, kończąc opowiadanie.

Katarzyna była zawstydzona.

— — — — — —

— — — — — —

Wkrótce cała leśniczówka pogrążona była w głębokim śnie.

Nazajutrz rano Moszko wyszedł wcześnie i wrócił dopiero o piątej po południu z próżnym wozem, ale za to z pełną kieszenią.

Właścicielka tartaku kupiła towar i zapłaciła za niego gotówką. Chciała koniecznie dowiedzieć się, od kogo jest to płótno, ale Moszko na wszystkie



Wspaniałe rydwany, zaprzężone w czekoladowe zające, wyruszy pod koniec postu, z fabryk cukierków... na uroczyste stoły wielkanocne.

jej pytania, odpowiadał tylko chytrym uśmiechem, a gdy chciała spytać woźnicy, zauważyła z niezadowoleniem, że jest on głuchoniemy.

Ale właśnie ta tajemniczość dodawała jakiegoś uroku całej sprawie, i „brzydka" Rozalia dziś jeszcze cieszy się myślą, że ma w swej szafie wyprawę jakiejś hrabianki.

Z zadowoleniem położył Moszko na stół długi szereg rulonów 10-cio guldenowych.

— Jeżeli nie wystarczy — rzekł — to ja jeszcze pozostałem.

— Kochany Moszko, zapomnieliście sobie odciągnąć prowizję — mówiła Sylwia.

— Co znaczy prowizję — gderał Moszko — od takiego interesu, który załatwia się raz w życiu, ja nie chcę żadnej prowizji. Dlaczego ja zawsze muszę mieć prowizję?

— Ale nie możemy narazić się na tyle trudu i tyle straty czasu bez zapłaty.

— Co znaczy nie możemy? — odpowiedział handlarz — czasem, jak kto skoczy do wody, aby uratować bliźniego, ryzykuje życie, a ja bym nie miał ryzykować paru guldenów dla bliźniego? Czy panienka myśli, że zapomniałem co panienka zrobiła, jak była małą, a mnie napadli chłopcy? O pamiętam dobrze, jak panienka mnie broniła i brylanowi, którym mnie szczuli, rzuciła pajdę chleba z masłem. Do końca życia panience tego nie zapomnę.

— Weźcie przynajmniej dwadzieścia reńskich — nalegał Herbert, ale żyd obstawał przy swoim. Herbert postanowił więc po pewnym czasie zrobić mu jakiś prezent.

— Macie może adres jakiegoś agenta tajnego? — spytał Herbert.

— Nie, ale i o to się postaram — odpowiedział żyd — zrobię sobie węzeł w chusteczce.

Wyciągnął z kieszeni czerwoną chusteczkę i zrobił w rogu jej olbrzymi guz.

Potem spakował swoje manatki i pożegnawszy się, odszedł, a Sylwia zamyślona patrzyła za nim.

ROZDZIAŁ XCIII

Pan Jeremiasz Mehlhose

Kilka dni potem, otrzymał Herbert od Moszka list następującej treści:

Szanowny Panie! Najlepszy agent we Wiedniu nazywa się Godfried Sperling, Mariahilf 104, trzecie piętro. Drogi on, ale praca jego zasługuje na dobrą zapłatę.

— Trzy tysiące reńskich już prawie mamy — mówił Herbert — może to wystarczy na zapłatę dla niego?

— Powinno wystarczyć — powiedziała pani Herbertowa.

— Więc pojadę do Wiednia i poproszę go, aby zajął się naszą sprawą — rzekł leśniczy.

— A może lepiej będzie, jak ja pojadę — prosiła Sylwia. — Ojciec musi prosić o urlop, a jak spytają o przyczynę wyjazdu, będzie musiał znowu skłamać, a ja wiem, jak ojciec tego nie lubi.

— Ale nigdy nie byłaś we Wiedniu — rzekł, zamyślając się leśniczy — czy dasz sobie radę?

— Dam! — odpowiedziała krótko.

— Więc jedź w imię Boże — rozstrzygnął Herbert.

— Dziś jeszcze pojadę — zawołała Sylwia z błyszczącymi oczyma.

— Tak ci spieszno od nas? — rzekła zasmucona pani Herbertowa.

Sylwia zarzuciła jej ręce na szyję.

— Niech się mateńka nie gniewa, ja przecież was bardzo kocham i nigdy was nie opuszczałabym, gdyby nie ta męcząca myśl, że Werner żyje i potrzebuje mojej pomocy. Serce moje czuje, że Najwyższy pozwoli mi go uwolnić.

Mówiła to z jakimś proroczym przeczuciem, a Herbertowa wzruszona patrzyła na nią.

— Jedź z Bogiem! — rzekła.

W godzinę później Sylwia była na stacji kolejowej i z okna wagonu żegnała ojca.

Ożywiła ją nowa nadzieja, która wracała do niej zawsze, gdy chodziło o to, by ratować hrabiego Wernera Wildensteina.

Przyjechała do Wiednia nocą, ale mimo późnej pory, jeszcze szukała mieszkania Sperlinga.

Agent Sperling był małym, ruchliwym człowiekiem. Jego nic nie mówiąca twarz ożywiona była maleńkimi, przenikliwymi, czarnymi oczkami.

Sylwia opowiedziała mu wszystko, co się zdarzyło w Königswaldem od zniknięcia Wernera i dodała, że tylko baronowi Egonowi mogłoby zależeć na zniknięciu hrabiego.

— A czy pani przypuszcza, że baron wkroczył tutaj czynnie? — zapytał agent.

Sylwia potwierdziła:

— 10 mil w promieniu przeszukałam całą okolicę i jestem przekonaną, że hrabia tam się nie znajduje. Teraz nie wiem, co czynić dalej, więc proszę pana, aby był pan łaskaw prowadzić dalej poszukiwania.

— Jeżeli się pani zgodzi na moje warunki — odparł agent.

— A jakie są te warunki? — spytała Sylwia ciekawie.

— Honorarium dziennie wynosi dziesięć guldenów — rzekł Szperling — zwrot wszystkich kosztów i pozostawienie mi wszelkiej swobody.

— Zgadzam się — odpowiedziała Sylwia.

— A kiedy można pana oczekiwać w Königswalden? — zapytała po chwili.

Agent zamyślił się, potem rzekł:

— Jutro rano i będę tam uchodził za malarza Jeremiasza Mehlhose. Do widzenia zatem jutro w Königswalden.

— Cała moja nadzieja polega na pańskiej pomocy! — rzekła Sylwia.

Jeszcze tej samej nocy powróciła Sylwia do domu, aby nie zwracać uwagi, wróciła pieszo ze stacji kolejowej do wsi.

Na leśniczówce była wielka radość z jej szybkiego powrotu.

Opowiedziała rodzicom jak sprawę załatwiła i przez cały dzień wraz z nimi oczekiwała niecierpliwie przybycia agenta.

Co chwila wyglądała przez okno i pod wieczór szepnęła matce:

— Jedzie!

Rzeczywiście przed leśniczówką zatrzymał się lekki wózek, z którego wyskoczył mały, niepokaźny człowiek.

Pani Herbertowa była rozczarowana, bo zupełnie inaczej wyobrażała sobie tajnego agenta.

— Jestem malarzem — nazywam się Jeremiasz Mehlhose — przedstawił się z zgrabnym ukłonem.

— Protektor mój powierzył mi namalować krajobraz jesienny. Tutejsza okolica jest bardzo romantyczna. Gdybym miał gdzie mieszkać, zabawiłbym tu chętnie przez jakiś czas. Jeżeli chodzi o mieszkanie i utrzymanie, to mam

skromne wymagania. Czy nie przyjęlibyście mnie państwo na pewien czas?

— Jeżeli chce pan zostać naszym gościem, to bardzo chętnie — odpowiedziała pani Herbertowa. — Każę panu przygotować pokój — postaraj się Sylwio, aby kolacja była wcześniej i każ zabrać rzeczy pana do pokoju.

W kuchni służąca śmiała się z przybysza i z jego śmiesznego nazwiska, ale stara Katarzyna zburczała ją za to, że podsłuchiwała pod drzwiami.

— Nie masz się z czego śmiać — mówiła — bo jestem pewna, że gdyby on chciał się z tobą ożenić, to nosiłabyś chętnie to nazwisko, które ci się teraz wydaje tak śmieszne.

Służąca oburzyła się na wywody staruszki, ale kolację przygotowała bardzo dobrą i gdy miała podawać do stołu, wystroiła się w bieluchny fartuszek.

Po kolacji, gdy rodzina Herbertów została tylko z gościem, spytał agent:

— Czy ktoś w okolicy wydawał w ostatnich czasach wielkie pieniądze?

— Nic o tym nie wiem — odpowiedział stary leśniczy.

— A czy wyjeżdżał ktoś z okolicy? — badał dalej Jeremiasz.

— Stangret Mayer miał wyjechać do Ameryki — tłumaczył leśniczy — i dlatego właśnie podziękował za służbę.

— A skąd wziął pieniądze na podróż? — zapytał agent.

— Wygrał na loterii — informował Sperlinga Herbert.

— A od kogo Mayer kupił los? — pytał dalej pan Mehlhose.

— Od handlarza, starego Moszka — odpowiedziała Sylwia.

— A czy ten Moszko powie pani prawdę, jak to było z tym rzekomym wygraniem na loterii?

— Z pewnością — odpowiedziała Sylwia — on już nieraz dawał dowody, że jest nam szczerze oddany.

Pani Herbert wmieszała się również do rozmowy.

— Dziś jest piątek — rzekła, — więc Moszko z pewnością będzie w domu.

— Jutro rano zaraz zatelefonuję do niego — rzekła Sylwia.

— To jest wszystko, co na razie możemy zrobić — odpowiedział ajent — bez tego proponuję, abyśmy sobie powiedzieli „dobranoc", moi państwo.

Nazajutrz rano, przy śniadaniu, nie było Sylwii.

Panienka o czwartej rano wyjechała do miasta — odpowiedziała służąca.

Około dziewiątej Sylwia już wróciła i na powitanie wsunęła agentowi w rękę jakąś złożoną kartkę.

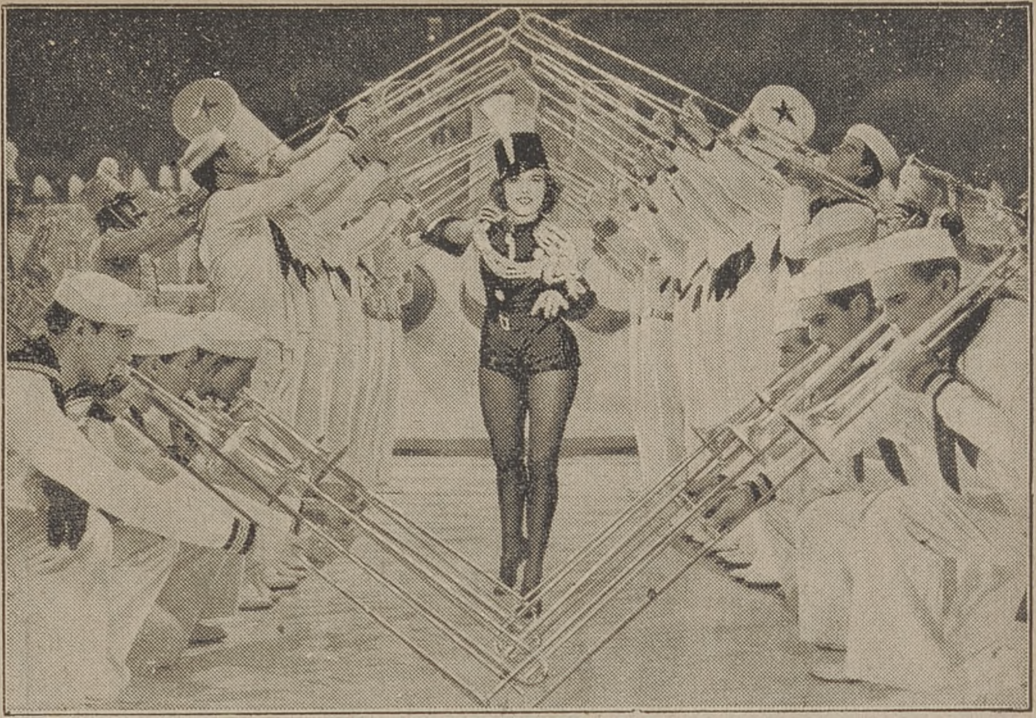
— Był to telegram, który prócz adresu zawierał podpis Moszka.

— Dlaczego nie wyjechałaś później, jeżeli koniecznie sama musiałaś być w urzędzie telegraficznym? — spytała pani Herbertową córkę.

— Bo wiem proszę mamy, że on zawsze już przed dziewiątą idzie do bóżnicy, a że i tak nie mogła spać, więc wolałam pojechać wcześniej, nadać telegram i poczekać od razu na odpowiedź. Czekałam niecałą godzinę.

— Czy Mayer wywędrował już do Ameryki? — spytał agent.

— Stąd wyjechał do Wiednia — odpowiedziała Sylwia. — Żona jego opowiadała w karczmie, że chce tam zostać, że nie ma ochoty jechać do Ameryki, ale czy tak się stało nie wiem.



Eleanor Powell występuje w filmie p. t. „Stworzona do tańca". Artystka (na zdjęciu) jest podobno najlepszą odtwórczynią stepa.

— A ona, młoda i ładna? — badał agent.

— Tak jest, młoda i bardzo ładna — odpowiedziała Sylwia.

— W takim razie może ona zwyciężyła — mówił Mehlhose zamyślony — czy oni tu mają krewnych?

— Nie, bo ona pochodziła z domu podrzutków, a on miał brata, z którym się pogniewał z powodu Zuzi. Brat ten nie mógł jej darować tego, że była biedną.

— Może w karczmie będą także coś o nim wiedzieli, bo cztery tygodnie, po ich odjeździe, gdy wszyscy myśleli, że oni już są w Ameryce, wrócili nagle, a Zuzia chwaliła się swoim majątkiem — mówiła Sylwia.

— To wydaje mi się podejrzane — mówił Mehlhose — pieniądze co mówi, że wygrał na loterii a to nieprawdą, więc skąd? Chyba, że hrabiego Wildensteina zamordował i obrabował, jak pani sądzi?

Sylwia zbladła i niezdolna była odpowiedzieć. Wyręczył więc ją Herbert.

— To niemożliwe, on był prędki i gwałtowny, w gniewie mógł kogoś zastrzelić lub zakłuć, ale z zimną krwią nie potrafiłby uplanować i popełnić morderstwo lub rabunek, na to wydawał się za dobry.

— Więc morderstwo i rabunek z jego strony wykluczone? — spytał Mehlhose.

Sylwia przez cały ten czas namyślała się.

— Nie — rzekła wreszcie — Mayer z tym nie ma nic wspólnego. Wieść o jego wygranej rozeszła się jeszcze za życia starego hrabiego, a hrabia Werner znikł dopiero w sam dzień jego śmierci.

— Czy pani się nie myli w tym twierdzeniu? — spytał Mehlhose prędko.

— Nie — odpowiedziała stanowczo — przysięgłabym, że tak jest.

— Hm, sprawa wydaje mi się coraz więcej zagadkowa — rzekł marszcząc brwi? — a po co Mayer wracał?

— Nie wiem, może we wsi albo w zamku będzie się można dowiedzieć.

— A więc idę do zamku — odpowiedział Mehlhose.

W zamku kazał się zaprowadzić do klucznicy.

— Zacna pani — rzekł uprzejmie — pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Jeremiasz Mehlhose i jestem malarzem. Słyszałem wiele o dziełach sztuki znajdujących się w zamku. Byłbym pani bardzo wdzięczny, gdyby pani była tak dobrą i raczyła mi je pokazać.

Panna Klara namyślała się, czy Egon nie będzie się gniewał, jeżeli zostanie w zamku kogoś obcego, ale, że sobie nic z gniewu Egona nie robiła, więc odpowiedziała po chwili:

— Pana barona w tej chwili nie ma, więc mogę pana oprowadzić po zamku.

Przechodzili jedną salę po drugiej.

W jednej z nich zwrócił uwagę przybysza obraz okryty czarną krepą.

— Pozwoli mi pani zadać sobie jedno pytanie? — spytał uprzejmie.

— Proszę bardzo — rzekła Klara.

— Czyj to portret? — spytał.

— Ach — odrzekła z westchnieniem Klara — to portret naszego panicza.

To mówiąc odsunęła trochę krepę, tak, że agent mógł zobaczyć dokładniej obraz.

— Kiedy on znikł? — spytał.

— Siedemnastego lipca — odpowiedziała Klara.

— A czy miał nieprzyjaciela? — badał agent.

— Nie — odpowiedziała Klara z całą stanowczością — był ogólnie lubiany.

— Więc zginął przypadkiem?

— Chyba, że tak, nic innego nie możemy myśleć.

— Czy poszukiwania za nim pozostały bez rezultatu? Nic nie znaleziono?

Klara zaprzeczyła ruchem głowy.

— To dziwne — rzekł przybysz.

Klarze widocznie temat ten nie odpowiadał, i chcąc go zmienić, spytała:

— A kto panu mówił o dziełach sztuki w naszym zamku?



W Berlinie odbył się w tych dniach ślub popularnego artysty filmowego Willy Fritsch'a z głośną tancerką, Dinah Grace. Świadkami ślubu byli dyr. wytwórni filmowej „Ufa", Ludwik Klitzsch i Liliana Harvey, których widzimy na zdjęciu, obok rozpromienionej pary nowożeńców.

— Niejaki pan Mayer. Miałem malować jego żonę, ale nie było czasu, bo musieli wyjechać do Ameryki.

— U nas służył niedawno jeden Mayer — odpowiedziała panna Klara zainteresowana.

— A, to pewno ten sam, bo on mi mówił, że był tutaj i że wraca, by odebrać długi.

Klara zaczęła się śmiać szyderczo.

— On? Długi odbierać? A to pyszne — przecież nikt mu nie był nic winien; to byłoby dobre, aby on komuś miał coś pożyczyć, skoro sam centa nie miał.

— Więc pocóż on wracał do Königswalden? — spytał niewinnie Mehlhose.

— Świadectwo służby chciał od pana barona.

— Ba, żeby w Ameryce kupić sobie farmę, na to nie trzeba świadectwa! — zdziwił się malarz.

— Musiał jednak je potrzebować — odpowiedziała panna Klara — bo czekał tak długo, aż je dostał od pana barona.

Agent zaczął teraz podejrzewać, że Egon i Mayer są wspólnikami jakiejś ciemnej sprawy.

Aby nie zwracać uwagi klucznicy, wypytywał się o obrazy i posągi, zręcznie jednak wplatał pytania, dotyczące Mayera i Egona, a Klara odpowiadała na nie, nie przeczuwając nic złego. Przy końcu rozmowy jeszcze powiedziała:

— Ci Mayerowie, to nieszczęśliwi ludzie, bo nawet majątek nagle zdobyty, nie przyniósł im zadowolenia. Zuzia zwariowała zupełnie i jeżeli w Ameryce nie zmądrzeje, to nie wiem, co z nią będzie.

— Więc pani myśli, że oni naprawdę wyjechali do Ameryki?

— Tak jest, bo ona już z okrętu pisała do swego szwagra list, w którym go złośliwie wyśmiewa i wyszydza.

Agent niczym nie zdradzał, że wszystko to obchodzi go bardzo. Zwiedziwszy zamek, podziękował bardzo uprzejmie klucznicy, pożegnał się z nią grzecznie i poszedł do wsi.

Wkrótce dowiedział się, gdzie mieszka Mayer.

W bielutkiej izbie siedziała młoda, niebrzydka kobieta, i naprawiała koszule męskie.

Agent skłonił się uprzejmie i poprosił o kawałek chleba i sera, mówiąc, że jej zapłaci.

Kobieta poprosiła go, aby usiadł i wyszła na chwilę z izby.

Tymczasem zbudził się w kołysce malec i zaczął wrzeszczeć. Aby go uspokoić, zaczął go Mehlhose kołysać, a gdy i to nie pomagało, wyjął swój złoty zegarek i chciał go dać chłopcu do zabawy.

Ale malec krzyczał dalej, aż poczerwieniał.

Agent przestraszył się i nie wiedząc, co robić, wziął dziecko na ręce i zaczął z nim tańczyć. To przypadło do gustu małemu obywatelowi, który teraz zaprzyjaźnił się z brodą agenta, a tym samym i z jej właścicielem.

Właśnie, gdy go targał za brodę, weszła matka.

Można sobie wyobrazić, jak była zachwycona tym obrazem i jak jej pochlebiało, gdy zaczął chwalić piękność i mądrość dziecka.

Postawiła na stole chleb i ser, wzięła od nieznajomego dziecko i poprosiła go, aby usiadł przy stole.

Pan zapewnie ma także maleństwa? — zapytała — bo tak pięknie umie pan obchodzić się z dziećmi.

— Niestety, nie — odpowiedział Mehlhose z westchnieniem — jestem nieżonaty, malarz.

— A to może nam pan wybieli izbę? — odezwała się naiwnie.

— Niestety, nie maluję izb, tylko portrety i krajobrazy — odpowiedział z pewną dumą.

Wieśniaczce nie zaimponowało to jednak bardzo, bo spytała z litością:

— Czy oprócz tego ma pan jeszcze jakieś inne zajęcie?

— Tak jest, zbieram marki zagraniczne — kłamał agent.

— Ach, to ja mogę panu dać zagraniczną markę — zawołała ucieszona kobiecina.

— Dostaliście list z zagranicy? — spytał niewinnie.

— Tak jest — odpowiedziała i zaczerwieniła się z gniewu — ta szelma Zuzia napisała do mego męża taki bezczelny list.

Agentowi chodziło tylko o to, aby ten list przeczytać, więc rzekł:

— Może pani pozwoli mi wyciąć tę markę z listu, bo przez nieostrożność można ją popsuć.

— Proszę bardzo — odpowiedziała grzecznie kobieta. — Wsadziła dziecko do kołyski i zaczęła szukać w szufladzie listu. Wkrótce wyjęła poplamioną kopertę i podała mu ją.

Agent przypatrzył się bacznie pieczęci pocztowej, która pochodziła z pewnej miejscowości angielskiej i wyciągając list z koperty, przebiegł go oczyma.

Udało mu się zapamiętać następujące słowa.

„Jedziemy do Ameryki, gdzie każdy może zostać prezydentem, to znaczy tyle, co królem, więc Józef także może zostać prezydentem. Jeżeli potem będziemy jadać ze złotych naczyń, to przyślemy wam, żebrakom, z litości kilka guldenów, jeżeli do tej pory nie zdechniecie w kryminale."

— Widzi pan — rzekła kobieta, która zauważyła, że gość przeczytał część listu — chciałam ten świstek spalić, ale mój mąż powiada, że ta Zuzia jeszcze kiedyś przyjdzie do nas żebrać, to wtedy on, nim jej da jeść, pokaże ten list.

— To bardzo możliwe — odpowiedział poważnie Mehlhose — taką pychę Bóg zawsze karze.

Odchodząc, położył jej guldena na stole, ale ona oświadczyła zaambarasowana, że nie może mu wydać.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział — schowajcie to dla swego pięknego malca.

Unikając jej podziękowań, wyszedł z chaty i udał się w stronę leśniczówki.

ROZDZIAŁ XCV.

Szukajcie a znajdziecie

Niecierpliwie oczekiwała Sylwia powrotu agenta. Taka była ciekawa dowiedzieć się rezultatu jego wycieczki, że nie mogła zdobyć się na równowagę.

Poszła do ogrodu, by z ostatnich kwiatów jesiennych ułożyć bukiet, gdy nagle usłyszała turkot kół.

Ktoś przyjechał. Sylwia zarumieniła się, bo zawsze, gdy ktoś obcy przyjeżdżał, spodziewała się wieści o Wernerze.

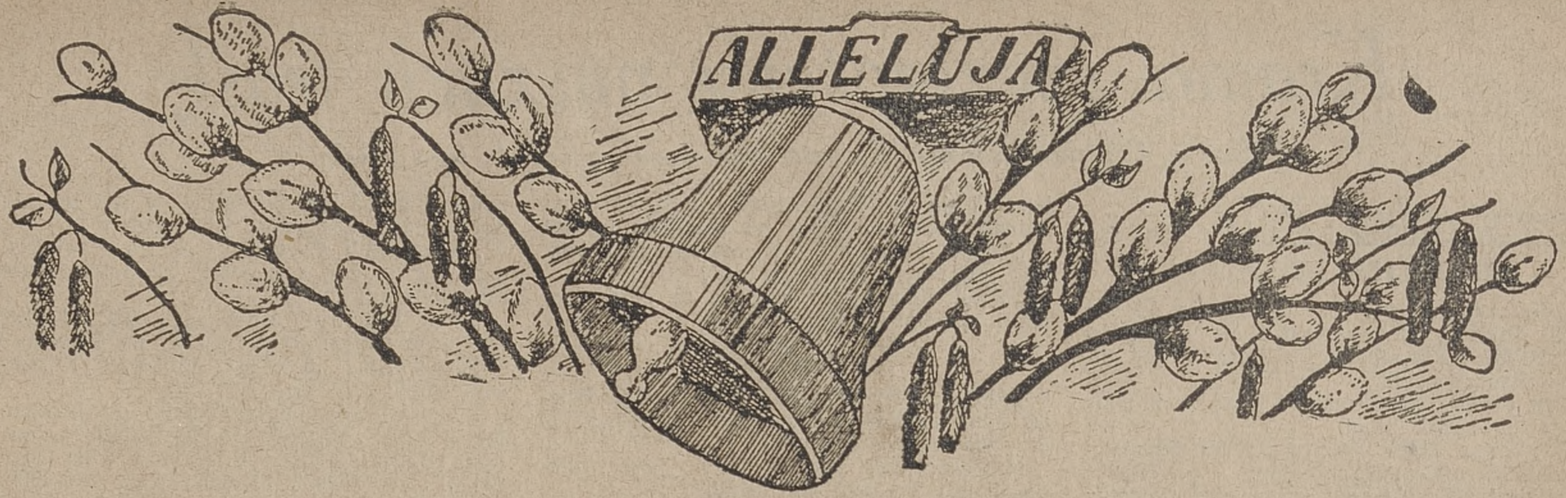
W pokoju zastała jakąś zawoalowaną damę, która spytała:

— Czy mam zaszczyt mówić z panną Sylwią Herbert?

Sylwia skłoniła się, a obca dama nie wymieniając swego nazwiska i pochodzenia, rzekła:

— Byłabym pani ogromnie wdzięczna, gdyby pani była tak dobra i zechciała mi dać odpowiedź na kilka pytań.

(Ciąg dalszy na stronie 257)



Wszystkim naszym Czytelnikom i Sympatykom składamy życzenia najmilszych Świąt Wielkanocnych

Wydawnictwo i Redakcja „Moich Powieści".





Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

PRZYJECHAĆ NIE MOGĘ!

„Królewna Mary". Za zaproszenie ślicznie Pani dziękuję, ale przyjechać nie mogę, bo co stałoby się wówczas z „Krainą" i jej milymi Sympatykami?

Pisz częściej, „Królewno" i przyjm ode mnie siostrzany uścisk dłoni.

„Królewna Mary" przeznacza dla Sympatyków kilka następujących słów:

„Hallo! „Romantyczny Śpiewaku", „Samotny Sfinksie" i „Erosie", wzamian za otrzymane pozdrowienia, ślę Panom słoneczne uśmiechy.

„Czarnulkę ze Świecia" proszę o zamilczenie mego nazwiska, gdyż w Świeciu zna mnie dużo osób. Pozdrawiam Cię i czekam na list!"

SPRAWA ZOSTAŁA JUŻ ZAŁATWIONA

„Marteczka". Sprawa fotografii siostry Pani została już załatwiona. Pozdrawiam Panią, jak i Siostrę Pani i oddaję do przedruku „komunikat" Pani:

„Hallo! „Janheli"! Dziękuję Panu jak najserdeczniej za liścik i pocztówkę. Następny list z adresem może Pan również skierować na poste-restante, Więcbork."

„NIE MA LUDZI ZŁYCH NA ŚWIECIE, A SĄ TYLKO BARDZO NIESZCZĘŚLIWI I PRZYGNĘBIENI CIĘŻKIMI WARUNKAMI"...

„Mała Konwalijka". Twój ostatni list sprawił mi dużo radości. Otworzyłaś w nim swoje dobre, smutne serduszko — dziękuję Ci za to.

Słowa z listu tego — ...nie ma ludzi złych na świecie, a są tylko bardzo nieszczęśliwi i przygnębieni ciężkimi warunkami... — są bardzo ładne i prawdziwe.

Żegnaj, Maleńka, bądź zdrowa i niech uśmiechną się do Ciebie wiosenne święta Wielkanocy.

Dopisek Twój oczywiście z chęcią zamieszczam:

„Wszystkim „Siostrzyczkom", które mnie pozdrawiały w „Krainie" dziękuję za pamięć i serdecznie całuję.

„Neptunowi II", ślę uścisk dłoni i życzę Mu, aby radosne słoneczko zaświeciło w Jego smutnej duszy.

„Marice" ślę uznanie za śliczny wierszyk — „Srebrzyste płatki śniegu" — i pozdrowienia."

WIERSZ ZAMIESZCZAM

„L'esprit inquiet". Życzenie Pana spełniam i wierszyk zamieszczam. Za pozdrowienia ślicznie dziękuję!

WZEJDZIE SŁONKO JASNE, ZŁOTE...

„Czarodziejce" w odpowiedzi na Jej miły wierszyk.

Życie nas ludzi jest jak strumyk mały,
Jak górski potok, co wśród skał przepływa —
To szemrze cicho, to spada po głazach,
I swoje żale w ten sposób wygrywa.
Ale niech tylko przyjdzie letnia pora,
I słonko złote stopi białe śniegi,
Zaraz strumyczek, co tak szemrał wczoraj,
Hucząc radośnie, skacze za swe brzegi.
Tak też jest z życiem — gdy bez celu bieży.
Tak samo serce spragnione kochania
Łka tęsknie, cicho na swą smutną dolę,
I każdy jasny promyk w siebie wchłania.
I dla serduszka, Miłej „Czarodziejki",
Która cierpliwie na wschód słonka czeka,
Wzejdzie i ono — piękne, jasne, złote,
I wzbudzi miłość — chwila niedaleka!

„L'esprit inquiet".

„LISTU NIE OTRZYMAŁAM"...

„Kochanie" komunikuje: „Narcyzie", nie otrzymałam od Pana żadnego listu. Proszę napisać do mnie jeszcze raz, a napewno odpowiem.

„Dzino", bardzo, bardzo dziękuję za przemiły wierszyk, przeznaczony dla mnie. Chciałabym Ci się czymś zrewanżować, tylko nie mam żadnego pomysłu. Może mi pomożesz trochę!

„Tu — Ryszard"! Zainteresował mnie Pan. Czy mogę spodziewać się listu?

„Małej Konwalijce" dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je w pełni."

DLACZEGO?

„Merle". Odpowiedź daję Pani na same święta. Mam nadzieję, że zastanie ona Panią już przy najlepszym zdrowiu.

Nadesłany wierszyk — miły. Tylko... dlaczego taki beznadziejnie smutny?

Napisz szybko, Droga „Merle" i przyjm ode mnie serdeczne uściski.

Z listu „Merle" do Sympatyków:

„Rozśpiewanej — roztańczonej Pomorzance" „Czarnobrewej II" i „Simpson" przesyłam bardzo miłe pozdrowienia. Zaintrygowała mnie „Simpson". Ktoś ty i skąd pochodzisz? — napisz!

Poza tym proszę o listy mieszkańców wybrzeża. Na każdy list dam odpowiedź!"



„Kujawianka" jest jedną z najwierniejszych Czytelniczek „Moich Powieści", właścicielką przemiłej twarzyczki i bardzo dobrego serduszka. Przesyła Ona swoim nieznanym „siostrom" i „braciom" moc pozdrowień. Oprócz tego prosi o listy. Dla ułatwienia podaje swój adres: poste-restante, Toruń, dla „Kujawianki".

„ŻADEN LIST NIE POZOSTAWIĘ BEZ ODPOWIEDZI"...

„Czarnowłosa Niusia". Dziękuję Pani za miłe pozdrowienia, również z polecenia Wujka Janusza i z prawdziwą radością zaliczam Panią do naszego grona. Pragnęłabym, aby Pani pozostała tak samo wierną „Krainie", jak jest „Moim Powieściom". A teraz list Pani:

„Jestem młodą, wysoką brunetką, z zawodu nauczycielką i mimo, że większość czasu zajmuje mi praca w szkole, to jednak znajdę trochę czasu na korespondencję.

Zainteresował mnie „Kujawiak". Znam dobrze Kujawy i mam z pobytu na nich dużo miłych wspomnień, zwłaszcza z wakacyj tam spędzanych. A więc, Kolego, może odezwiesz się do mnie pierwszy?

Miłe pozdrowienia przesyłam „Smutn mu Sefowi", „Ny-czarowi", „Niebezpiecznemu Gościowi" i „Podchorążemu z Grudziądza".

Na zakończenie dodaję, że żaden list, który otrzymam, nie pozostawię bez odpowiedzi."

„NAPISZCIE, A NAPEWNO NIE ROZCZARUJECIE SIĘ"...

„Madzia", „Lusia" i „Mery Lu", trzy sympatyczne Bydgoszczanki, mają ogromną ochotę nawiązać skimś korespondencję. W tym też celu wystosowały następujący list-apel:

„Hallo! Mili Czytelnicy „Moich Powieści" napiszcie do nas, a napewno nie rozczarujecie się. Czekamy!

„Syna Dniestru" zapytujemy, czy mieszkał kiedyś w małym miasteczku S. na Pomorzu? Pozdrawiamy „Śnieżkę z Pomorza" i „Wesołą Irutkę z Bydgoszczy".

Pragnęłybyśmy odebrać liściki od następujących osób: „Marzyciela z nad Noteci", „Czarnego Drypsa", „Tu — Ryszarda", „Syna Dniestru", „Ord-Oma", „Nieznajomego 220-380", „Czarnulki z Grudziądza" i „Takiego małego Coś z loczkami".

LISTY WYSYŁAM TAK, JAK SOBIE PANI ŻYCZYŁA

„Słodka Maruszka". Listy wysyłam tak, jak sobie Pani życzyła. Czy przywiozła Pani z sobą jakieś zdjęcia? Może przeznaczy Pani jedno dla mnie?

Wesołych Świąt!

„CHCIAŁABYM WIEDZIEĆ"...

„Niebieskooka Zinka". W redakcji znajduje się list dla Pani — proszę go odebrać.

Czy moje zdjęcie ukaże się, rozstrzygnie większość głosów.

Pozdrawiam Panią i oddaję do przedruku kilka słów Pani:

Serdecznie pozdrawiam „Wichę". Czy mieszkałaś kiedy w Żninie? Jeżeli tak, to się znamy.

„Smutną Elę" — całuję! Chciałabym wiedzieć, czy jesteś tak smutną, Dziewczynko, jak Twój pseudonim?"

DO WIADOMOŚCI ZAINTERESOWANYCH

„Kratercwi II" przesyła do wiadomości swoim Znajomym z „Krainy":

„Kamilowi" w odpowiedzi: owszem, przypominam sobie nasze spotkanie w Bydgoszczy i cieszę się, że „Kraina" zdobyła sobie tak krańcowego idealistę. Pozdrawiam Cię serdecznie!

„Wesołej Mariecie", ślę wyrazy głębokiego szacunku.

„Izarys"! Wkrótce otrzyma Pani ode mnie olbrzymi list, tymczasem zaś pozdrawiam Panią.

„Marucie" — bratni uścisk dłoni z zapewnieniem o mej szczerej przyjaźni.

„Rozo Wenedo", dlaczego nie otrzymuję odpowiedzi na mój zew?

Zainteresowała mnie „Ada" — czy nie zechciałaby Pani nawiązać ze mną korespondencji?"

APEL DO CZYTELNIKÓW Z OKOLIC KONINA I KLECZEWA

„Stęskniona Irka". Trudno mi spełnić gorącą prośbę Pani, a to z tej przyczyny, że nie pamiętam dokładnych adresów moich Sympatyków. Postanowiłam jednak pomóc Pani w inny sposób, mianowicie zaapelować w imieniu Pani do Czytelników „Moich Powieści" z okolic Kleczewa i Konina, aby napisali do Pani. Poza tym podaję do wiadomości zainteresowanych kilka następujących słów z listu Pani:

„Jesienny Wichrze", chętnie nawiążę z Panem korespondencję, ale pod warunkiem, że Pan pierwszy do mnie napisze.

„Orliczowi" dziękuję za pozdrowienia. Odwzajemniam je szczerym uściskiem dłoni.

Bardzo miłe pozdrowienia przesyłam: „Marylce z nad Warty", „Helenie", „Słodkiej Danusi", „Wenus", „Krysztalkowi", „Rybakowi z Helu", „Latorośli Kaszubskiej", „Wirrytowi" i „Wiejskiemu Chłopcu".

MOŻE DLATEGO...

„Sława". Słowa Pani zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Może dlatego, że wydały mi się one moimi własnymi słowami. Serdecznie Panią pozdrawiam i życzę Radosnych Świąt!

DZIĘKUJEMY!

„Dumka" przesyła nam w przededniu swego wyjazdu z Wołynia ostatnie stamtąd pozdrowienia. Dziękujemy i czekamy na list... z domu.

BIAŁA SIOSTRZYCZKA

P. Marychnie Dziomdziorzance z Łodzi, w związku z nadesłanym listem z szpitala, dedykuje — autorka.

A kiedy stajesz cicha i biała,
Siostro szpitalna, u mego łoża,
To, nie wiem czemu, mi się wydajesz
Jasnym aniołem lub cudną zorzą.
Nieraz mnie rana tak bardzo boli,
Tak serce tęskni za niebem i słońcem
I wtedy zbliżasz się do mnie powoli
I na mym czole kładziesz swe ręce.
I już mi lepiej... Nie tęsknię, nie płaczę,
Bo mnie zapewniasz, że za dni parę
Znowu świat piękny zdrowa zobaczę —
Że wkrótce odejdą dni smutnych mary.
Patrzę w twe oczy, siostrzyczko biała,
I już nie tęsknię za moim domem —
Tam świat powszedni, banalny, mały,
A tyś tak święta, dobra ogromnie...

M. Z.

MIŁEJ KORESPONDENCJI!

„Roskoszna Dziewczynka II“. Przed paru dniami wysyłałam Pani kilka listów, a więc uważam, że sprawa nawiązania korespondencji jest już u Pani nieaktualną. Dlatego też nie podaję apelu Pani, tylko pozdrawiam Panią jak najserdeczniej i życzę Pani miłej korespondencji.

BARDZO PANIĄ PROSZĘ...

„Lusia — Szczebiotka“. Cieszę się, że wyobrażenia Pani o mnie są takie miłe i muszę zdradzić, że bardzo bliskie prawdy. Ślę Pani dużo serdeczności i bardzo Panią proszę, chociaż o maleńkie zdjęcie. Czy zgoda?

Kilka słów z listu „Lusi — Szczebiotki“:

„Jasieńko“ — milutka dziewczynko! Bardzo zdziwiła mnie Twoja wzmianka w „Krainie“ jakobyśmy się już znały. Nie wiem, dlatego proszę Cię o list. Ślę Ci dużo pozdrowień.

„Róży Południa“ dziękuję za pozdrowienia, które odwzajemniam w dwójnasób.

Apeluję również do „Solidnego Ślązaka“ o miły liścik. Jestem również ze Śląska — może się znamy?

„Maryszkowi“ — dużo pozdrowień! Może i Pan napisze do mnie?“

NARESZCIE!

„Taki jeden“. Jestem zadowolona, nareszcie, zgadł Pan! Załączone wiersze — prześliczne! Jestem Panu ogromnie wdzięczna za te miłe dowody pamięci!.

Wesołych Świąt! I...... już kończę, bo jeszcze setka listów czeka na odpowiedź.

POMYŚLNA WIADOMOŚĆ

„Czarodziejka“. Nie, nie myli się Pani w swoich przypuszczeniach...

Co do listów, to muszę Pani zakomunikować, bardzo pomyślną wiadomość, mianowicie, że w redakcji znajduje się kilka listów dla Pani. Chodzi tylko o adres! Przypuszczam, że nadeśle mi go Pani wkrótce?

Ślę Pani radosne życzenia świąteczne, a na okładce bieżącego numeru „Moich Powieści“ zamieszczam wierszyk ulubionej Pani autorki. Czy jest Pani chociaż trochę zadowolona ze mnie?

PRZYPOMINAM SOBIE DOSKONALE

„Bydgoszczanka“. Przypominam sobie Panią doskonale, tylko przykro mi, że pisze Pani do nas teraz tak mało i rzadko. Proszę poprawić się i przyjąć ode mnie jak najszczersze życzenia świąteczne.

SZARA GODZINA

Szara godzina — zmierzch na pokój legł,
I swą codzienną drzemkę rozpoczyna,
Ciemność po kątach kryje się jak zbieg,
Budzik minione chwile wypomina...

Cisza — w marzeniu sennym myśl ulata,
Budząc jakoweś radosne wspomnienie,
Uśmiechem jasnym całą jaźń oplata,
Na duszę spływa ukojenie...

Powoli wszystko w niepamięci tonie,
W nieświadomości serce roi,
Na umęczonej mojej skroni,
Śnią mi się czyjeś dobre dłonie...

C. Gromkowa.

„OCZY MOJE SĄ DUŻE I BARDZO NIEBIESKIE“...

„Dzikuska z pod Warszawy“. Nawet nie domyślam się, co za tajemnica istnieje w rodzinie Pani, dlatego proszę Panią o szczery list. Może będę mogła Pani w czymś pomóc, gdy się dowiem bliższych szczegółów. Dyskrecja z mojej strony oczywiście zapewniona!

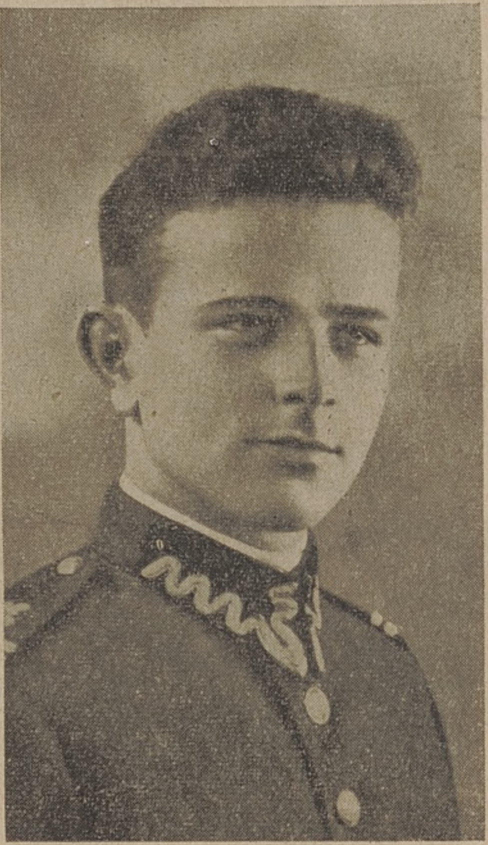
Do „Krainy“ przyjmuję Panią i zapoznaję Panią z Sympatykami za pośrednictwem liściku Pani:

„Mieszkam w mieście pod Warszawą. Nie mam jeszcze lat 20-tu. Oczy moje są duże i bardzo niebieskie, włosy ciemne. Podobno jestem ładną i sympatyczną. Może ktoś zainteresuje się mną?

Serdeczne pozdrowienia przesyłam „Słodkiej Danusi“, „Dziewczęciu z Kujaw“, „Latorośli Kaszubskiej“, „Wirrytowi“ i „Rybakowi z Helu.“

PROŚBA O LISTY

„Solidny Ślązak“ śle moc pozdrowień, w nadziei przychylnego załatwienia jego sprawy, „Dumnej“, „Li z nad Olzy“, „Marysieńce“ i „Steni“, oraz „Szczerej Ślązaczce“. Wymienione Panie bardzo prosi o miłe listy.



Fotografię powyższą otrzymałam tylko na pamiątkę, tym czasem w pierwszym porywie zachwytu przeznaczyłam ją do reprodukcji i później już się tego zmienić nie dało... Czy „Rudi 220—380“ daruje mi tę samowolę?

„DZIĘKUJĘ TYM, KTÓRZY SPEŁNILI MOJĄ PROŚBĘ!“...

„Nie — biedna“. Z pewnych względów nie mogę przychylić się do życzenia Pani, ale wzamian zamieszczam z całą ochotą list Pani. Oto on:

„Dziękuję uprzejmie wszystkim tym, którzy spełnili moją prośbę i nadesłali mi listownie wierszyki, a przede wszystkim „Iwoli“, która przeznaczyła dla mnie w „Krainie“ bardzo milutki wierszyk.

Pozdrawiam wszystkich Sympatyków, a szczególnie tych najsmutniejszych.

„Bursztynowe Serduszko“ zapytuję, czy jest z Poznania? Jeżeli tak to mieszkamy blisko siebie.

„Wirrytowi“ ślę serdeczne pozdrowienia. Tak samo tym, którzy mają krucze włosy i dobre oczy. Może któryś z właścicieli takich oczu i włosów napisze do mnie? Ogromnie jestem ciekawa, kto pierwszy sprawi mi niespodziankę!

Ani. Toli i Edziowi w Łodzi zasyłam z Poznańskiego moc pozdrowień!“

SPRAWĘ PROSZĘ ROZSTRZYGNĄĆ DROGĄ KOMPROMISU...

„Samotna Sosenka“. Ślicznie Pani dziękuję za sympatyczny wstęp listu i życzę sobie gorąco, aby nigdy nie zmieniła Pani swego zdania, co do „Moich Powieści.“

A teraz druga sprawa! W liście swoim między innymi pisze Pani:

„Jak zauważyłam, do „Krainy“ należy Sympatyczka, która posiada pseudonim bardzo zbliżony do mojego. Boję się, że z tego powodu powstaną nieporozumienia, więc pomóż mi jakoś p. Zosiu, zaradź...“

Uważam, że powyższą sprawę powinny załatwić Panie samodzielnie — drogą kompromisu. Pełna nadziei w pomyślne rozstrzygnięcie kwestii, oddaję jeszcze do przedruku zakończenie listu Pani:

„Kujawiakowi“ ślę pozdrowienia i milutkie — pa!

„Czarnego Drypsa“ proszę o malutki liścik, gdyż pierwsza nie mam odwagi napisać“.

ORYGINALNY PROJEKT

„Solidny II“. Projekt Pana jest naprawdę oryginalny. Nie wiem, czy przypadnie on do gustu Sympatykom, ale w każdym razie podaję go do szerszej wiadomości:

„W sprawie — „Jak wyobrażam sobie p. Zofię“ — podaję następujący projekt. Otóż niech „Krainiacy“, którzy posiadają odrobinę talentu malarskiego, narysują p. Zofię i do rysunku dorobią odpowiedni wierszyk. Czy zgodzi się ktoś ze mną?

Korzystając ze sposobności pozdrawiam serdecznie „Ar“, „Dziewczę z dalekiej Ojczyzny“, „Takie małe Coś z loczkami“, „Słodką Królewnę Kini“ i p. Terenię Ol. z pod Poznania“.

CZY ZNAJDZIE SIĘ?

„Lawina“. „Czy znajdzie się jakiś przeciwnik do listownej szermierki, którą pragnę nawiązać?“

Kocham przyrodę, uwielbiam muzykę i cenię treściwe filmy. Z natury jestem optymistką, a moją dewizą jest: „świat do żywych należy.“

Jeżeli ktoś ma podobne, albo nawet przeciwne poglądy, to proszę, niech do mnie napisze. Jestem wysoką szatynką o oczach, pełnych wesołych chochlików. Zamieszkuję w pięknej nadmorskiej okolicy. Czy kogoś interesuje pulsująca życiem Gdynia, albo Szwajcaria Kaszubska? Jeżeli tak — niech się corychlej ze mną skomunikuje.

Pozdrowienia z nad Bałtyku zasyłam: „Złamanej Brzózce“, „Cyganeczce“, „Antygonie“, „Promyczkowi“, „Orliczowi“ i „Granatowi 0.3“.

Podoba mi się „Carmen“ z swoim usposobieniem!“

Najpierw umieściłam Pani liścik, „Lawino“ a teraz dopiero dziękuję Pani za nadesłane uściski i serdecznie Panią pozdrawiam. Każdy list Pani sprawi mi radość!

LIST DO SYMPATYKÓW „KRAINY“

„Samotny Sfinks“ pisze w swoim liście do Sympatyków „Krainy“:

„Taki Jeden i Lotniku J. K. z Grudziądza! Dziękuję Wam chłopcy za miłe listy, na które otrzymacie wkrótce odpowiedź.

P. M. G. z Oporowa! Dlaczego milczysz? Czy list mój nie doszedł do Twoich rąk?

„Zawiszo Czarny“, „Zbłąkany Ptaku“ i „Łowco Przygód“, może rzucicie mi kilka słów?

„Bluszczowi“, na daleki Wołyń przesyłam serdeczne pozdrowienia. Czy napiszesz do mnie? Czekam!“

DRUGI LIST OTRZYMAŁAM

„Hen - Cze - Sem“. Pierwszy list Pana widocznie nie doszedł do moich rąk, skoro nie otrzymał Pan odpowiedzi. Drugi otrzymałam i dzisiaj podaję go do wiadomości osób zainteresowanych:

„Witam wszystkich Sympatyków „Krainy“ szczerym, braterskim uściskiem dłoni. Jestem bardzo brzydkim chłopcem i mam już wąsy. Twarz moją zdobią kocie oczy i charakteryzuje ironiczny uśmiech. Lubię marzyć, uprawiać sport i bawić miłe panie. Proszę napisać do mnie, a odpowiem chętnie. Dla ułatwienia podaję adres: poste-restante, Inowrocław, (dla „Hen-Cze-Sem).

Pozdrawiam: „Smutną Hankę“, „Różę Południa“ „Słodką Maruszkę“ i „Ninette“.

PODAJCIE SOBIE RĘCE!...

„Zraniona Ptaszyna“. Widziałam kiedyś omdlałą ptaszynę, której złamano skrzydełko i czuję, że ta ptaszyna, gdyby potrafiła mówić, skarżyłaby się tak samo, jak Pani. I tak samo, jak Pani, wzruszyłaby mnie swoją skargą.

Wstrzymuję się tym razem od słów pociechy, bo wiem, że na nic one się Pani nie zdadzą, ale jeżeli Pani szuka oddanego serca, to zawsze je Pani znajdzie u mnie — proszę o tym pamiętać.

Hallo! „Hanko z nad Niemna“! Mamy w „Krainie“ drugie smutne serduszko, które straciło również niepowrotnie to, co miało najdroższego. Podajcie sobie ręce, moje Drogie — może wspólna dola zbliży Was do siebie i wspólna bezradność znajdzie w serdecznej przyjaźni jakieś ujście.

Przyjmijcie ode mnie wyrazy serdeczności i... pogodnych Świąt, wbrew wszelkim smutkom!

CZASEM ŻYCIE PŁATA MIŁE NIESPODZIANKI...

„Cormes“. Czasem życie płata szalenie miłe niespodzianki, widzę to nieraz z listów, które wyszeptują mi najsłodsze tajemnice: „Znalazłam to, czego długo szukałam“ lub: w „Krainie“ napotkałem szczęście, które tak trudno nieraz znaleźć na szerokim świecie“, widzimy to także z poniższego listu:

„Po długim milczeniu daję znowu znak o sobie. Czy Pani przypomina sobie „Cormesa“? Otóż muszę dzisiaj podać Pani do wiadomości, że od chwili wstąpienia do „Krainy“ czuję się bardzo szczęśliwym. Na apel mój otrzymałem dużo listów, tak, że trudno mi było dać na wszystkie odpowiedzi. Między innemi znalazł się liścik, który zadecydował o moim obecnym losie. Nawiązana nić korespondencyjna przeistoczyła się wkrótce w czystą i wzniosłą miłość. Krótko zaś mówiąc, znalazłem w jednej z Sympatyczek „Krainy“ moją obecną żonkę. To też serdecznie dziękuję p. Zofii za okazaną mi niegdyś przysługę.

Dziękuję również tym, którzy przesyłali mi przez dłuższy czas liściki. Jak już powyżej wspomniałem znalazłem już sobie towarzyszkę życia, ale mimo to pozostanę zawsze wiernym „Krainie“, tak samo moja żonka. Swego czasu prosiła mnie „Ikjala“ z przemiłej trójki dziewcząt o trochę wiadomości o sobie. Otóż proszę Ją o kilka słów, gdyż zdaje się, że znamy się z L. Adres mój: poste — restante, Tczew, (dla „Cormesa“).“

Autorowi powyższego listu, jak i Jego Małżonce życzę na nowej drodze życia wszystkiego najlepszego!! !

O LUDZIACH SMUTNYCH

„Ar“. Czy dużo jest smutnych ludzi na świecie? — Tyle ile kropel w morzu, ile ziarnek w piasku!... A może więcej, kto to wie...

Smutki i troski nie zasypiają nigdy, ale chodzą ustawicznie wśród ludzi i gaszą ich uśmiechy, pogodę ducha i spokój myśli.

Ludzi smutnych spotkałam już w życiu tłum, radosnych i beztroskich — mało. Śmiało mogę powiedzieć, że jest Pani nikłym atomem w kosmosie smutku i jako taki nie powinna Pani czuć ciężaru swoich zmartwień i niepowodzeń. „Jest tylu innych bezradniejszych i nieszczęśliwszych — nie wolno mi więc przykładać zbytniej wagi do moich smutków“ — powinniśmy sobie powtarzać co dnia i pilnie doszukiwać się jaśniejszych stron życia. Powinniśmy, a jednak nie czynimy tego. Może brak nam sił, a może tylko dobrych chęci?...

Czy zechce Pani podyskutować ze mną na powyższe, Droga Panno Fredo?

„HALLO! GNIEZNO!“

„Samotna Kalina“. Na liścik Pani mogę dać jedynie taką odpowiedź, jaką dałam „Ar“. Uśmiechnij się, „Samotna Kalino“ i niech odrodzi się Twoja przygasła dusza razem z wiosennymi roślinami i słońcem. Ślę Ci w dalekie strony siostrzane pozdrowienia i serdeczną zachętę do wypowiedzenia walki wszystkim przestarzałym smutkom i niepotrzebnym żalom. Oczekuję niecierpliwie echa mych słów i na zakończenie udzielam Ci, „Kalino“, głosu:

„Bardzo proszę o listy wszystkich Czytelników z Gniezna. Do miasta tego czuję pewien sentyment, gdyż jest ono moim miastem rodzinnym.

„Jak najserdeczniej pozdrawiam: „Sierocą Dolę“, „Cygankę o smętnych oczach“, „Dziewczę z Południa“, „Pustelnika z nad Drwęcy“ i „Czarnego Drypsa“.

ZDAJE SIĘ, ŻE TAK...

„Kochanie“. „Okropny“ list Pani wydał mi się czarującym. Proszę częściej o podobny!

Pyta Pani, czy bawiłam się w karnawale? Mój Boże! Jakie to już dalekie, wszak mamy właśnie koniec postu, ale zdaję się, że tak, że bawiłam się i w dodatku bardzo miło.

Dopisek Pani podaję do wiadomości osób zainteresowanych:

„Czarnemu Drypsowi“ zasyłam pozdrowienia i zapytuję, czy nie zechciałby ze mną podyskutować? Oto samo zapytuję „Niebezpiecznego Gościa“.

„Fakirowi“ i „Młodemu Orłowi“ — zasyłam uścisk dłoni!“

...I NA PRZEKORĘ MU UŚMIECHAJ SIĘ RADOŚNIE!

„Przedwiośnie“. Maleńka moja! Dowiaduję się z Twego listu, że znowu jakiś zły chochlik wtargnął do państwa Twoich pogodnych myśli i poczynił tam prawdziwe spustoszenia. O, niegodziwy chochlik! Jestem na niego mocno oburzona i dlatego namawiam Cię, Kochana Dziewczynko, abyś się z nim rozprawiła. Wypowiedz mu wojnę i na przekorę mu uśmiechaj się radośnie i wierz, że wszystko będzie dobrze. Niech chochlik pęknie ze złości.

Wesołych Świąt! Kazieńko i dużo pogodnych myśli!!!



„Narcyz“ przedstawia się jeszcze raz „Krainiakom“ ale już nieco przeobrażony. Czy na lepsze, ocenią sami sympatycy. Prawda?

CIĘŻKI REBUS DO ROZWIĄZANIA

„Rudi 220 — 380“. Pani E. G. nie należy jeszcze do „Krainy“, ale może powiększy nasze grono, gdy zobaczy czarującą fotografię Pana, którą zamieszczam bez wyraźnego zezwolenia. Czy spadnie za to bura na moją głowę?

Ogromnie miły list Pana podaję do ogólnej wiadomości:

„Stukam bardzo głośno do drzwi „Krainy Szczerości“ i starym zwyczajem przedstawiam się już u progu, albo dla odmiany powiem tylko, że mieszkam w pobliżu źródeł Wisły — na wsi. Zawód mój? Można go odgadnąć z pseudonimu. Och, co za ciężki rebus, p. „Rudi“!) Jestem jeszcze bardzo młody, bo mam dopiero 23 lata. Czy ładny? — nie wiem, bo mi tego jeszcze „płeć piękna“ nie powiedziała, a „brzydkiej“ nie wierzę.

Całej „Rodzince“ z p. Zofią na czele, ślę moc pozdrowień. Wyrazy szczerego szacunku łączę dla „Opuszczonej Owieczki“.

SERDECZNE POZDROWIENIA

„S. p. l. Sydney“. chętnie nawiąże korespondencję z miłymi Sympatyczkami „Krainy“. Jest to wesoły pan o wielkich, szarych oczach, prawdziwy gentelman. Bardzo serdeczne pozdrowienia przesyła on „Irce z Torunia“ i „Niebieskookiej Toruniance.“

CZY ODEBRAŁA PANI?

„Czarny Hajduczek“. Czy odebrała Pani wreszcie numery z powieścią, na której Pani tak bardzo zależało? Przypuszczam, że tak!

Ślicznie Pani dziękuję za wszystkie dobre i serdeczne słowa i z miłą chęcią zamieszczam „komunikaty“ Pani:

„Urbi et Orbi“, dla uniknięcia omyłek, wyjaśniam, że dawna „Czarna Dziewczynka“ i „Czarnula“, już nie istnieją. Wszystkim tym, którzy przesłali mi pod powyższymi pseudonimami pozdrowienia — serdecznie dziękuję i również pozdrawiam.

„Małej Konwalijce“ przesyłam najmilsze pozdrowienia i uściski. Pa, Kochanie!

„Przedwiośnie“! Lubię Cię, Maleńka, może „skrobniesz“ do mnie liścik?

„Hallo! „Latorośl Kaszubska“! Zdaje mi się, że znam Pana. Czy przypomina Pan sobie p. H.? Pozdrawiam Pana!

„Sportsmence“, „Manoli“, „Białej Uajali“, „Dzince“, „Dumce“, „Blance“, „Marucie“, „Samotnemu Sfinksowi“, „Wirrytowi“, „Cisowi“ i „Ziemianinowi S.“ — przesyłam dużo pozdrowień.

Jeżeli jest komuś smutno, niech napisze do mnie, a postaram się go rozweselić. Moją dewizą — to humor.

Zatem, kto chce, niech „mahnie“ parę słów. Odpowiem napewno. „Adres mój: poste — restante, Mielżyn, (dla „Czarnego Hajduczka“).

„GDY SERCE POZNAŁO BÓL“...

„Ciemnooka Ira“. Imieniny Mieczysława przy padają 1 stycznia, Bożenny — 13 marca.

Ocenę wierszyków Pani wyda Wujek Janusz.

A teraz fragment z listu Pani:

„Zima w mojej wiosce jest bardzo ładna, ale wiosna i lato ładniejsze. Skoro tylko zazielenią się drzewa i zakwitną pierwsze kwiaty, wyruszamy na wycieczki do lasu. Pięknie jest wtedy !

Nie wyobrażałam sobie nigdy życie z dala od tej uroczo położonej wioski, ale z chwilą, gdy serce poznało ból, zatęskniłam za moim rodzinnym miastem — Poznaniem. Pragnęłam gorąco wydostać się stąd, gdyż każde miejsce przypomina mi tego, który zabrał spokój mego serca i odszedł.

Czy w „Krainie“ znajdę bratnią duszę? Tak bardzo jej potrzebuję!

„Bohunie“, napisz do mnie. Czuję, że korespondencja przyniesie nam dużo zadowolenia“.

PRZYJMUJĘ Z RADOŚCIĄ

„Wesoła Gabrielka“. Pseudonim Pani brzmi ślicznie. Przypomina mi on bardzo miłą i kochaną osobę.

Do „Krainy“ przyjmuję Panią z radością i życzę sobie gorąco, aby „Wesoła Gabrielka“ pisała do nas często i dużo.

Pozdrowienia dla Alinki, Zosi, Marylki, Frania Stefka i „Pustelnika z nad Drwęcy“ — przekazuję!

„NIE PISZĘ LISTÓW, BO NIE MAM DO KOGO“...

„Czarnooka Wanda“. List Pani ucieszył mnie niewymownie, a szczególnie wiadomość, że „Moje Powieści“ w domu Pani są zawsze czytane z zainteresowaniem i co tydzień oczekiwane z tęsknotą. Pozdrawiam Panią serdecznie w imieniu całego zespołu redakcyjnego i swoim. Apel Pani zamieszczam jak najchętniej:

„Hallo! Tu „Czarnooka Wanda“! Może któraś z miłych Czytelniczek(ków) „Moich Powieści“ zwróci uwagę na mój apel i napisze do mnie kilka słów. Chciałabym ogromnie mócskimś korespondować. Od paru lat nie pisałam żadnego listu, a to z tej przyczyny, że nie mam do kogo pisać.

Jestem dwudziestoletnią brunetką, podobno „wcale“ ładną. Pracuję w magistracie. W korespondencji pragnę poruszać dużo ciekawych tematów.

Zainteresował mnie „Niebezpieczny Gość“! Może pan ten zechce do mnie napisać?

Adres mój brzmi: poste-restante, Lidzbark — Pomorze (dla „Czarnookiej Wandy“).

KORESPONDENCJA

„Nynek“, młody, sympatyczny Wielkopolanin, pragnie nawiązać korespondencję z zwolenniczkami „Krainy Szczerości“. Listy prosi kierować na adres: Wągrowiec, skrz. pocz. nr. 34.

CZY NIE ZECHCIAŁABY PANI?

„Złocisty Promyczku", dziękuję za nadesłaną pocztówkę z Poznania. Czy nie zechciałaby Pani przesłać mi swego zdjęcia? Może w tym zachwycającym, szkolnym mundurku? Czekam z jak najlepszą nadzieją!

Króciutki dopisek Pani zamieszczam i pozdrawiam!

„Hallo! „Niebezpieczny Gościu!" Dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je promiennym uśmiechem.

„Sierocej Doli" i „Echu Wsi" przesyłam szczery uścisk dłoni. „Zawiedzionemu", „Gwidonowi", „Latorośli Kaszubskiej" i „Marzycielowi z nad Noteci" — pozdrowienia!"

KOMUNIKATY

„Śmieszka z Pomorza" komunikuje Sympatykom:

„Hallo! „Bohunie"! Może napiszesz do mnie? — mieszkam niedaleko Nakła.

„Fakirze"! zapytuję o powód milczenia i proszę o zwrot fotografii.

„Tricotrinowi" ślę podziękowanie za miłe listy i uścisk dłoni.

„Smutna Pszczółko", nie smuć się, Maleńka! I ja przechodziłam kiedyś podobny los. Przesyłam Ci uśmiech i pozdrowienia.

„Białej Uajali", uznanie za ładne wierszyki. Może napiszesz do mnie?

„Dumce", prześlicznej, moc serdeczności!

„Wirrycie"! zainteresował mnie Pan. Czy mogę spodziewać się jakichś wiadomości od Pana?

„Egoistko", ściskam łapięta. Napisz do mnie, odpowiem Ci długim liścikiem."

NIE SPRAWIŁA MI PANI KŁOPOTU

„Wenata". Zmianą pseudonimu nie sprawiła mi Pani absolutnie żadnego kłopotu. Przykro mi tylko, że nudzi się Pani. Możeby te maleńkie nudy dało się czymś zabić, np. czytaniem książek, robótkami, pracą w jakiejś organizacji itd. Czy pomyślała Pani nad tym? Jeżeli nie, to proszę teraz pomyśleć, „Wenato". I proszę pisać do mnie dużo i często, dobrze?

Listy wysłałam, tylko... zapomniała Pani dołączyć znaczki. Serdecznie Panią pozdrawiam!

BARDZO PROSZĘ...

„Złotowłosy Cherubinek" i „Wróżka Ala". Wzruszyły mnie Panie niemożliwie swoim kochanym listem. O włos, a byłyby poleciały łzy! Przygarniam Panie serdecznie do siebie, bardzo proszę o częstą pamięć i już do końca odpowiedzi pozwalam Paniom mówić o sobie:

„Kto jesteśmy? Dwie zgrabne dziewczynki, sokolice, wielkie entuzjastki „Moich Powieści". Żyjemy w dość szczęśliwym położeniu, nie znamy nędzy, ani zbytniej nudy.

„Złotowłosy Cherubinek" jest jeszcze młodziutką dziewczynką o złotych włosach i niebieskich figlarnych oczach. W otoczeniu swoim sieje humor i radość. Potrafi naśladować różne głosy. Nazywają go „diabłikiem" lub „małym czortem", lecz w gruncie rzeczy jest to natura dobra i szczera. Ogromnie lubi chłopców - urwisów, małych trzpiotów i wesołych narwańców. Szczególną sympatią darzy panów w mundurach. Wszystkich takich Sympatyków zaprasza do korespondencji.

„Wróżka Ala" — stanowi kontrast „Cherubinka". Ciemnowłosa, błękitnooka, pogodna, opanowana i delikatna w obejściu. Nosi przydomki „czarodziejki" i „dobrej wróżki". Jest hamulcem dla dzikiej natury „Cherubinka", którego bardzo kocha. Uwielbia przyrodę, a szczególnie góry. Czuję pewną słabość do zapalonych turystów, motocyklistów, pilotów i leśników. Nie znosi trzpiotów i młodzików. Kto pokocha „dobrą wróżkę Alę"? Może znajdę kogoś życzliwego i oddanego wśród Bydgoszczaków? Albo kogoś z głębi Polski?

Hallo! „Smutna Pszczółko"! — „Wróżka Ala" przesyła Ci siostrzany, ciepły uścisk dłoni. Mnie spotkał podobny zawód, co i Ciebie. Przebaczyłam, choć cierpię. I często modlę się! Napisz, proszę, do mnie!"

OCZYWIŚCIE!

„Uesumi". Oczywiście, o ile jakieś listy do Pana nadejdą, zaraz je Panu przekażę. Przesyłam Panu, jak również morowym kolegom Pana, miły uścisk dłoni.

PRZYJMUJĘ KAŻDEGO CHĘTNIE...

„Kwiat z Hawai II". Do „Krainy" zawsze chętnie każdego przyjmuję, a więc i Panią przyjmuję i witam jak najserdeczniej i zamieszczam apel Pani:

„Jestem wysmukłą, ciemną blondynką, o niebieskich smutnych oczach. Cenię szczerość, bo sama kieruję się zawsze szczerością i prawdą. Mieszkam w jednym z mniejszych miast Wielkopolski.

Załączam pozdrowienia dla: „Dumki", „Hanusieńki I", „Dziewczynki z Rogoźna", „Marzyciela z nad Noteci" i „Niebezpiecznego Gościa". Może napiszecie do mnie, Drodzy Sympatycy?"

LIST ODEBRAŁAM

„Stach z pod Żnina". List Pana odebrałam. Dziękuję za niego! Kilka słów Pana, przeznaczonych dla Sympatyków, zamieszczam:

„Milutkiemu Lilatku" i „Róży Południa" — bardzo dziękuję za pozdrowienia. Tak samo „Brunetowi z Pałuk" i „Romantycznemu Śpiewakowi".

Serdeczne pozdrowienia ślę „Steni ze Żnina", „Duśce", „Słodkiej Danusi" i „Iwasiowi z Pałuk".



Autor bardzo miłych wierszy, które ukazują się od czasu do czasu w „Moich Powieściach", przesyła zespołowi „Krainy" serdeczne pozdrowienia i celem udogodnienia przesyłek korespondencyjnych, załącza swój adres: Mieczysław Grzegorski, Sosnowiec, ul. Warszawska nr. 10.

DO PROŚBY PRZYCHYLAM SIĘ CHĘTNIE

„Dziewczynka z Rogoźna". Liścik Pani wypadł bardzo serdecznie — niepotrzebne więc były Pani skrupuły. Przesyłam Pani życzenia wielkanocne i chętnie przychylam się do prośby Pani, t. zn. zamieszczam dopisek z listu Pani:

„Ślę dużo pozdrowień „Wesołej Adzie", „Słodkiej Danusi", „Dziewczęciu z dalekiej Ojczyzny" i „Fakirowi".

„Wesoły Chochliku" i „Brunecie z Pałuk", listu dotychczas nie wysłałam, bo wolę, aby, Panowie pierwsi do mnie napisali. Przyrzekam szybką odpowiedź i jak najmilej Panów pozdrawiam!"

Teczka Wujka Janusza

NOWELKA PIĘKNA W POMYŚLE ALE...

„Blanka". „La donna é mobile" — oto tytuł, jaki dałbym nadesłanej przez Panią nowelce. Nowelce, która nigdy nie ujrzy światła dziennego na łamach naszego czasopisma ze względu na pewne usterki, ale która jest piękna w pomyśle. Nowelkę tę schowałem sobie na pamiątkę.

Z wierszy przeznaczyłem do druku: „Są chwile..."

Przesyłam życzenia świąteczne i — do następnej przesyłki!

Od „Blanki" dla Sympatyków:

„Chciałabym nawiązać nić korespondencyjną z jakąś miłą Sympatyczką z Gdyni, wzgl. z Krakowa, gdyż kocham obydwa te miasta.

„Ninko! Piotrków! Droga mi jest Twa pamięć. Dziękuję za tak miłe życzenia imieninowe, chociaż przedwczesne. (Dziś imienin obchodzę w lecie) Śliczny ten pałacyk, zaś park wprost przecudny. Mam na myśli M..."

SĄ CHWILE...

Bernardowi Stacheckiemu — poświęcam.

Bywają w życiu chwile
Od słonka promienniejsze,
Co kryją w sobie uśmiech
Szczęścia — najczarowniejszy.
Gdy losu sorzeczne wiatry
Spokój Ci Twój zakłócą,
Te jasne, dobre chwile
Dni życia znów rozzłocą.
I choć te chwile miną,
Odblask ich szczerozłoty
Zostanie na dnie serca,
Jak cenny błysk klejnotu.
Bywają w życiu chwile,
Jak wiosny ciepłe tchnienie
Kiedy serc młodych dwoje
Los w cudne złączy marzenie.

„Blanka".

RADZĘ POPRACOWAĆ NAD SOBĄ

„Zwiędły Chryzantem". Nadesłane przez Pana wiersze — „W marzeniach" i „Śnię o Tobie" skazałem na zagładę, pomimo, że w wierszach tych znalazłem bardzo szczere i miłe akcenty. Powód smutnego losu wierszyków ten sam, co u „Melony". Radzę Panu przeczytać sobie uważnie odpowiedź, którą dałem tej Pani i także popracować nieco nad sobą.

W WIERSZACH BRAK TECHNIKI

„Melona". W wiersze swoje kładzie Pani dużo uczucia, ale wogóle nie zważa Pani na technikę, a dobra technika w wierszu to ważny atut. Proszę, niech Pani czyta poezje wszystkich dobrych autorów, a z czasem opanuje Pani ową technikę dobrego wierszowania, której, jak wspomniałem wyżej, brak Pani.

Jak najserdeczniej Panią pozdrawiam.

STWIERDZIŁEM Z ZADOWOLENIEM

„Bajka". List Pani przeczytałem uważnie i stwierdziłem z zadowoleniem, że „Teczka" moja pozyskała sobie niezwykle wartościową zwolenniczkę. Z swoimi zasadami przejdzie Pani czysta i zawsze szlachetna przez życie, ale nieraz jeszcze stwierdzi Pani, że życie i poglądy Pani to dwa przeciwstawienia, tak samo ludzie i Pani sama. Ale... raczej być „konserwatywną" niż bez zasad!

Proszę przyjąć ode mnie wyrazy głębokiego szacunku i pamiętać nadal o moim skromnym kąciku.

„Post scriptum" z listu „Bajki":

„Hallo! „Słodka Królewno Kini", „Sportsmenko" „Basiu", „Mała Konwalijko", „Sympatyczny Blondynie" i „Wytworny Włóczęgo" za pozdrowienia serdecznie Wam dziękuję i odwzajemniam je w całej pełni. „Orliczowi" za harcerskie Czuwaj!, również serdecznie dziękuję.

Osobne pozdrowienia ślę: „Trzpiotce" „Samotnej Indiance", „Smutnej Irce", „Tartakowi", „Ziemianinowi", „Amorowi", „Tu — Ryszardowi", i p. M. Bińkowskiemu, którego wiersze bardzo lubiłam. Dlaczego Pan ich teraz nie pisze?

Pani Helenie Karge — Toruń, przesyłam uznanie za wiersz „Tatrzańska Baśń". Śliczny! Załączam dla Pani szczere uściski.

Ucieszę się, jeżeli któraś z wyżej wymienionych osób napisze do mnie parę słów".

JEDNE WIERSZE PRZEZNACZYŁEM DO DRUKU, DRUGIE ODESŁAŁEM DO KOSZA

„Adel". Wiersze Pana: „W noc jesienną" i „Chwile" — przeznaczyłem do druku, „Wiosnę", „Nie wrócisz" i „Rozstanie" — odesłałem do kosza.

Czekam na następną przesyłkę i życzę Panu Wesołych Świąt!

Raj kobiet



Sukienka sportowa, robiona na drutach

Materiał: 900 gr włóczki fantazyjnej „S a l a m a n d r a“ marki „T r ó j k ą t w K o l e“ 2 druty nr. 2,5.

Ściegi użyte: cała sukienka zrobiona jest następującym ściegiem:

1 rząd: 1 oczko w prawo, 1 oczko przełożyć bez przerobienia, 1 oczko w prawo itd. do końca rzędu.

2 rząd: (lewa strona) cały w lewo. — Te dwa rzędy stale się powtarzają, otrzymujemy w ten sposób wzór w rodzaju prostych pasów, podobnych do ściągaczki pojedyńczej. Mają one tę właściwość, że się nie rozciągają. Skośne pasy otrzymujemy ujmując z jednej strony, a dodając z drugiej po 1 oczku na początku i na końcu części w skośne pasy na prawej stronie roboty. Na lewej stronie roboty wszystkie oczka w lewo.

Przód: zaczynamy spódnicę od dołu na 240 oczek, 4 rzędy robimy podanym ściegiem, w 5-tym rzędzie ujmujemy 1 oczko na początku i dodajemy 1 oczko po 60 oczkach w ten sposób, że nawijamy nitkę między oczkami na drut lewy i tworzymy nowe oczko, przerabiając je wprawo. Drugie oczko dodajemy znów po 120 oczkach, a ujmujemy 1 oczko na końcu rzędu. W ten sposób boczne części, po 60 oczek każdy, będą miały pasy skośne, a środkowa część na 120 oczek — proste pasy. Przez 65 cm. ujmujemy oprócz tego po 1 oczku z każdej strony co 2 cm. Przez następne 15 cm ujmujemy po 1 oczku z każdej strony co 1 cm. Jednocześnie na 65 cm. od dołu robimy rozcięcia na kieszenie, przerabiając każdą z 3-ch części na osobnym kłębku. Teraz (od pasa) dzielimy robotę na dwie połowy, z prawej dodajemy od środka 8 oczek w pierwszym zaraz rzędzie. Przez 25 cm. dodajemy od strony bocznego szwu 5 razy po 1 oczku co 3 cm, od środka robimy 3 dziurki w odstępach 8 cm. — Po 25 cm. licząc od pasa ujmujemy na pachy raz 4 oczka, raz 3 oczka, 1 raz 2 odzka i 4 razy po 1 oczku co drugi rząd. Jednocześnie po 15 cm od pasa robimy rozcięcie na górną kieszeń, przerabiając na 2 kłębkach. Druga połowa górnej części przodu tak samo, tylko bez dziurek.

Tył: zaczynamy od dołu tak jak przód. Od pasa bez rozcięcia z przodu. Po 25 cm od pasa dzielimy robotę na pół i robimy każdą część osobno, ujmując na pachy tak jak z przodu z drugiej strony ujmujemy zawsze po 1 oczku w co 2 rzędzie aż do zupełnego wyczerpania oczek.

Karczek: Przód (połowa): rozpoczynamy od górnej części pachy i robimy w poprzek na 4 oczka dodając z jednej strony na ramię 8 razy po 1 oczku co półtora cm. Z drugiej strony zawsze po 1 oczku co 2-gi rząd. Po 12 cm na ramieniu zakończamy skośnie dekolt po 7 oczek zaczynając od góry. Druga połowa tak samo.

Tył karczka: zaczynamy na 4 oczka od górnej części pachy i robimy tak jak z przodu tylko bez dekoltu i odrazu drugą połowę według podanych na schemacie wymiarów.

Rękaw: zaczynamy od dołu na 120 oczek, robimy dodając co 3 cm 1 oczko 10 razy z każdej strony. Po 30 cm. wysokości ujmujemy 6 razy po 2 oczka i zawsze po 1 oczku, kiedy zostanie 20 oczek zakończyć.

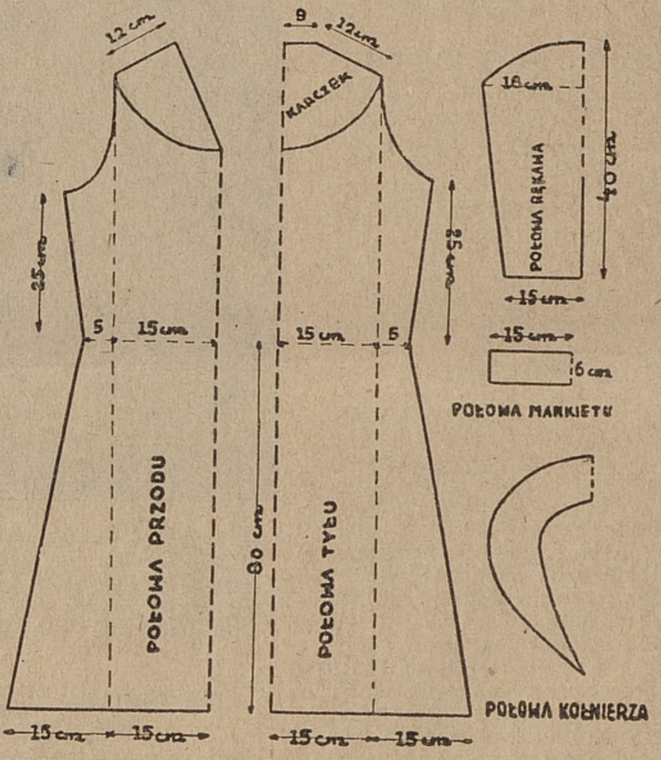
Mankiety: robimy pasek długości 30 cm, szerokości 6 cm. Zaczynamy na 20 oczek, dodajemy na początku i na końcu każdego rzędu na prawej stronie roboty po 1 oczku. Po 9-tym oczku robimy 3 oczka razem.

Pasek: tak jak mankiety, tylko odpowiedniej długości.

Kołnierz: robimy z trzech części na trzech częściach karczku. Na przedniej części karczku koło dekoltu nabieramy potrzebną ilość oczek od góry dodajemy 8 razy co 2-gi rząd po 1 oczku, z przeciwnej strony ujmujemy po 1 oczku do 2-gi rząd. Na drugiej części dekoltu przodu karczka tak samo. Na tylnej części karczka nabieramy od strony dekoltu potrzebną ilość oczek i robimy prosty kawałek żądanej wysokości.

Po zeszyciu obrabiamy kołnierz rzędem półsłupków szydełkiem.

Patki na kieszenie: robimy ściegiem „ryżowym“, zaczynamy na 20 oczek po 3-ch rzędach dzielimy robotę na pół, przerabiając każdą część na osobnym kłębku. Po 8 cm łączymy obie części, a po 10 cm zakończamy. Po skończeniu naszywamy haftując strzałki u góry i u dołu. *(Tom.)*



SCHEMAT SUKNI SPORTOWEJ

Wielkanoc w Polsce

Zwyczaje Wielkanocne — Święcone — — Śmigus — Dyngus — Emaus — Rękawka — Wiosenne Dziady

Po długim, smętnym poście nadchodzi radosny, pełen wesela dzień Chrystusowego Zmartwychwstania. Polska, jak długa i szeroka obchodzi wielkie wiosenne święto wśród rozgłośnego bicia dzwonów i grzmiącej pieśni „Alleluja“. W każdej rodzinie, w chatynce przyziemnej, czy niebosiężnej kamienicy jednoczą się w ów jasny dzień bratnie serca, milkną swary i kłótnie obopólne, jakaś radosna i pełna szczęścia atmosfera otacza ciszę domowego ogniska.

W niejednym domu wielkich miast, a w każdym z odległych wiosek stół wielkanocny tradycyjną przybierze szatę, a jak mówi Kraszewski: „W pośrodku z barankiem i chorągiewką z cukru lub masła...“

Polska jest jedynym krajem, gdzie zachował się piękny zwyczaj obrzędów wielkanoc-





nych. Na wsi zwłaszcza ugruntował się on na długie lata. Okropne czasy złej konjunktury nie pozwolą nam dzisiaj wskrzeszać dawnych uczt świątecznych, — staropolskie święcone ustąpić musi skromnemu „kryzysowemu". Ale jeśli w zgodzie, z wiarą w lepsze Jutro, ze słowem braterskim dla bliźniego i ręką wspomagającą dla biedaka — będzie stokroć piękniejsze i bardziej ważkie, od pływających w alkoholu i bezmyślnej rozrzutności uczt „złotej szlacheckiej wolności". Nie do pomyślenia wprost są dzisiaj tak wystawne przyjęcia świąteczne, jakie podają nam stare polskie kroniki. Bogactwo i przepych święconego u Sapiehy w Dereczynie za czasów Władysława IV jest tak oszałamiające w swym obrazie, tak fantastyczne, że dzisiaj dla człowieka nawet bardzo bogatego wydają się bajką i mirażem z życia wschodnich maharadżów. Nawet opisy homeryckich uczt bledną przy tym i nikną.

Oto jak wyglądało, według ówczesnego kronikarza wspomniane święcone, opisane barwną, kwiecistą, pełną makaronizmów polszczyzną XVII wieku:

„Stało cztery przeogromnych dzików — to jest tyle, ile części roku, każdy dzik miał w sobie wieprzowinę, alias szynki, kiełbasy, prosiątka. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę z upieczeniem całkowitem tych odyńców. Stało tandem dwanaście jeleni także całkowicie upieczonych, ze złocistemi rogami, ale do admirowania nadziane były rozmaitą zwierzyną, alias zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Te jelenie wyrażały 12 miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste, tyle ile tygodni w roku, to jest 52, całe cudne placki, mazury, żmujdzkie pierogi, a wszystko wysadzane bakalją. Zatem było 365 babek to jest tyle, ile dni w roku. Każde było adornowane inscripcjami, floresami, że niejeden tylko czytał, a nie jadł. Co zaś do bibendy: były cztery puhary, exemplum czterech pór roku, napełnione winem jeszcze od króla Stefana. Tandem 12 konewek srebrnych z winem po królu Zygmuncie, te konewki exemplum 12 miesięcy. Tandem 52 baryłki także srebrnych in gratiam 52 tygodni, było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Dalej 365 gąsiorów z winem węgierskiem, alias tyle gąsiorków, ile dni w roku.

A dla czeladzi dworskiej 8.700 kwart miodu robionego w Brezie, to jest tyle, ile godzin w roku".

* * *

Jeśli większość zwyczajów staropolskich, trwających do dziś dnia, posiada strony piękne i szlachetne, formy kulturalne — to odwieczny dyngus i śmigus stanowczo powinien być wyrugowany ze zwyczajów wielkanocnych. Zwłaszcza wśród ludu przybiera czasem charakter tak niekulturalny i niehumanitarny, że dziwić się trzeba, że podobna rozrywka pokutuje jeszcze do dziś w życiu polskiem.

Zwyczaj tak stary, że początkami sięga nawet poza okres piśmiennictwa polskiego, a jak powiada Kitowicz „datuje się z czasów jerozolimskich, kiedy wierni, skupieni na ulicach rozmawiając o Zmartwychwstaniu Chrystusa rozpraszani byli przy pomocy wody przez żydów". Według innej wersji śmigus pochodzi z czasów przyjęcia Chrześcijaństwa przez Polskę. Wówczas to dla ochrzcenia wielkich rzeszy, wpędzano je do wody.

Początek wszakże śmigusu jest jeszcze dalszy. Birmanowie w Indjach Wschodnich, obchodząc w kwietniu trzydniowe święto noworoczne, mieli zwyczaj oblewania się wodą na znak oczyszczenia z grzechów starego roku. Lali wówczas wodę z okien i dachów na głowy przechodzących ulicami ludzi.

W Polsce, w drugim dniu Wielkanocy parobcy wiejscy oblewają przy studniach ułapane dziewczęta kubłami zimnej wody, a często nawet wrzucają je wprost do rzeki. Nic dziwnego że podobne wesołe zabawy pociągają za sobą przykre następstwa ciężkiej choroby, a nawet śmierci.

W ziemi kujawskiej był zwyczaj, że chłopak w dniu tym, jak mówi Z. Gloger „właził na dach karczmy wioskowej z miednicą w ręku i pobrzękując w dno takowej obwoływał dziewki, które będą oblewane i zapowiadał, ile dla której potrzeba będzie do jej szorowania wozów piasku, perzu na wiechcie, grac do skrobania, ile kubłów wody i mydliska". Było to związane z wielkopostną pokutą, połączoną niegdyś z zaniedbaniem cielesnem.

Mazowszanie odróżniają dyngus od śmigusu. Dyngus jest rodzajem „szopki" czy „gwiazdy" wielkanocnej. Wiejscy chłopcy podczas drugiego dnia Wielkiejnocy chodzą od chaty do chaty, śpiewając alleluja. Za otrzymane datki wyprawiają sobie huczną biesiadę. Wśród piosenek dyngusowych znana jest np. taka:

Ja małe dziecię
jako mnie widzicie,
palmę w ręku noszę,
i o dyngus proszę.

Dyngus za tym jest tutaj datkiem, jakim gospodarz obdarowuje młodocianych śpiewaków. Śmigus zaś jest oblewaniem wodą dziewcząt przez chłopców w drugim dniu Wielkanocy, a chłopców przez dziewczęta w trzecim dniu.

* * *

Zwyczajem dziś rzadkim jest tak zwany Emanus. Jest pamiątką objawienia się Chrystusa uczniom w drodze do miasta Emaus. W dniu tym odbywano wycieczki piesze lub konne za miasto do parków i ogrodów. Były to raczej wiosenne pokazy mód, aniżeli celowo uświęcone tradycją obchodzenie religijnego zdarzenia.

* * *

W Krakowie w trzecim dniu Wielkanocy (we wtorek) znany jest zwyczaj tak zwanych „Rękawek" niezwiązany zupełnie z żadną pamiątką kościelną. Jest to raczej pamiątka narodowa, sięgająca odległych osnutych legendą czasów panowania mitycznego króla Podwawelskiego Grodu Krakusa. W dniu tym śpieszą tłumy na wzgórze Krzemionki, gdzie młodzież zabawia się ochoczo na stromem zboczu góry, rzucając jajkami, piernikami i orzechami. Mali chłopcy wyprawiają tam ucieszne harce, walki i zapasy. „Rękawki" miały wywodzić się od tego, że przy wznoszeniu kopca Krakusa noszono podobno ziemię w rękawkach ubrań.

* * *

Wśród licznych zwyczajów wiosennych świąt zachowały się na Polesiu t. zw. Wielkanocne Dziady, zwane „Nawskim Dniem". W ciągu roku lud polski trzy razy czci swych zmarłych krewnych czy znajomych: w jesienne Zaduszki, lutowe Gromniczne i wiosenne Dziady. We czwartek, w piąty dzień po Wielkiejnocy odbywa się ta uroczystość na Polesiu, w której biorą udział wiejskie kobiety ubrane odświętnie. Z resztkami święconego podążają na piaszczysty cmentarz. Na mogile zmarłych przysiadłszy, poprawiają zniszczony przez zimowe zawieje nagrobek, składają na nim przyniesione dary: kiełbasę, kołacz, ser, jaja, flaszę wódki. W skupieniu i uroczyście odbywają się modły za zmarłych, tajemne rozmowy ze światem duchów. Rozhowory te przechodzą stopniowo w żałosne zawodzenie, wreszcie w okropne i niemiłosierne wycie i jęki. Po długiej chwili spełnia się toast za zmarłych i po uroczystej biesiadzie zostawiwszy na pastwę wiatru, pastuchów i dziadów lniane obrusy z resztkami jadła kobiety powracają wśród śmiechów i rozgłośnych pogawędek do domu.

* * *

Zrobiliśmy w skrócie przegląd niemal wszystkich obrzędów wielkanocnych stanowiących w zasadzie olbrzymi materiał, obszerne pole badań i naukowych dociekań. Niesposób w ramach dziennikarskiego artykułu dać wyczerpujący opis wszystkich odmian w obrzędach i zwyczajach wielkanocnych, które lud polski w różnych okolicach różnie pojmuje i w różne formy przystraja.

Mamy obrzędy piękne, zwyczaje estetyczne, które oby wieśniacy nasi jak najdłużej u siebie przechowywali i pielęgnowali, znamy i barbarzyńskie, miejsce których powinny zająć takie któreby mówiły, że wyszliśmy już poza granice ciemnoty i nieokrzesania, a kroczymy szeroką drogą kultury i dobrze rozumianego postępu.

L. Wr.



Katarzyna Hepburn — najciekawsza gwiazda filmowa Ameryki

Długo trwało, nim Katarzyna Hepburn — niewątpliwie najciekawsza dzisiaj aktorka Ameryki, zdobyła i w Polsce popularność. Pierwszy jej film „Małe Kobietki" który w całymm świecie szedł z niesłychanym powodzeniem, który ustalił nowe rekordy kasowe nie tylko w Ameryce, ale i w Europie, który w Nowym Jorku, jako pierwszy od czasu istnienia filmu przekroczył tygodniową „kasę" 100.000 dolarów, który w Paryżu, jako pierwszy film od czasu istnienia filmu szedł ponad 6 miesięcy, — w Polsce przepadł z kretesem. Jest to tym mniej zrozumiałe że przepadł nie tylko w opinii publicznej, ale nawet w opinii krytyków, którzy nie umieli doszukać się w nim jego prawdziwych wartości. Na skutek tego szereg dalszych filmów Katarzyny Hepburn nie zjawił się w Polsce. Następnym jej filmem, który oglądaliśmy na naszych ekranach to był film „Należę do ciebie" z Charles Boyer'em — film o dużych wartościach artystycznych, doskonale grany, świetnie reżyserowany, pod względem muzycznym stojący na najwyższym poziomie, stanowił już pewien przełom, a jednak był jeszcze daleko od sukcesu. Dopiero przy trzecim filmie Katarzyny Hepburn — przy filmie p. t. „Mam 19 lat" — skromnym, niewystawowym, małym filmie z życia codziennego, polska publiczność przekonała się do tej wielkiej „gwiazdy gwiazd" jak ją nazywają w Ameryce. Film ten, t. zw. film letni osiągnął wszędzie sukces bardzo duży. Był on przygotowaniem do „Marii Stuart". Dopiero ten ostatni film zdobył Katarzynie Hepburn w Polsce uznanie. Po wielkich miastach Polski, film ten biegnie obecnie w miastach mniejszych i nie było ani jednego człowieka, któryby wyszedł z kina nieoczarowany grą tej wielkiej artystki.

Niedawno odbył się pokaz nowego filmu Katarzyny — filmu p. t. „Zbuntowana". Premiera tego filmu odbyła się w Nowym Jorku. W filmie występuje obok niej Herbert Marschall, Elisabeth Allan i Donald Crips. Reżyseruje Mark Sandrich.

W tym filmie Katarzyna Hepburn odtwarza 20-letni okres życia kobiety w epoce wiktoriańskiej. Doris Dudley z typu przypomina Hepburn K., a nadto w Ameryce rodzaj jej gry porównywany jest z grą K. Hepburn. Debiut filmowy D. Dudley wróży jej wspaniałą karierę.

Nieograniczone możliwości dramatyczne Katarzyny Hepburn znalazły nowy wyraz w filmie p. t. „Sylvia Scarlett" która nakręciła zaraz po „Zbuntowanej".

Artystka odtwarza w tym filmie dzieje młodej dziewczyny z niższych warstw społecznych, przebranej — dla zmylenia policji — za chłopca, z taką samą prostotą i bezpośredniością, z jaką odtwarzała tragiczne przeżycia Marii Stuart, albo pełną egzaltacji panienkę małomiasteczkową (Mam 19 lat).

Istnieje w Hollywood niejaki Mr. Grauman. Pan ten jest jednym z potentatów filmowych, gdyż jest to właściciel słynnego „Chinase Theatre" w Hollywood.

Mr. Grauman świadom swojej wielkości i znaczenia miewa od czasu do czasu zdumiewające pomysły reklamowe. Premiery przechodzą i giną w niepamięci. I te filmy, które dzisiaj są największymi filmami stulecia, za kilka miesięcy stają się bezużyteczną taśmą celuloidową. Ojciec premier filmowych chciał zachować dla siebie pamiątkę z każdej takiej wielkiej premiery. I pewnej pięknej nocy wpadł na pomysł, by stopy wielkich gwiazd



Liliana Harvey, urocza artystka licznych komedyj filmowych.

uwiecznić w betonie... I oto pewnego wieczoru, w dzień wielkiej uroczystej premiery filmu, w poczekalni kinoteatru znalazło się kilka skrzynek z płynnym betonem, a wielkie gwiazdy uproszone zostały, by w betonie tym odcisnęły ślad swojej stopy, Mr. Grauman odciski te odpowiednio oprawione, kolekcjonował. Pomysł p. Graumana począł się rozwijać. Niektóre gwiazdy, zamiast swoich maleńkich stopek (podobno Greta Garbo nosi 42 numer bucika) zaczęły odbijać swe dłonie, a jedna z gwiazd odbiła swój profil. Gwiazdy zaczęły wypisywać w betonie swoje autografy i swoje życzenia pomyślności dla Mr. Graumana.

I tak działo się kilka lat i Mr. Grauman dumny był ze swego pomysłu. Aż nie dawno odbyła się premiera najnowszego filmu Katarzyny Hepburn — „Zbuntowana". I tu p. Graumana spotkała przykra niespodzianka. „Zbuntowana" zbuntowała się. Wyraziła się podobno, że nie będzie robiła z siebie cyrku, ani widowiska, (gdyż do około skrzynek z betonem stała armia foto-reporterów) i całkiem poprostu przeszła obok skrzynek, wchodząc na salę. Na pozór drobiazg. Że wielki Mr. Grauman poczuł się obrażony — to ostatecznie można przeboleć. Ale stała się gorsza rzecz. Obraziły się te wszystkie gwiazdy, które poprzednio dawały p. Graumanowi odciski swoich stópek czy rączek. Uważały one, że jest to atak także i w ich kierunku. I obecnie wrze w holywoodzkim ulu. Skandal ten jednak nie zaszkodził filmowi „Zbuntowana" — wprost przeciwnie nawet. Gdy nazajutrz z rana cała prasa hollywoodzka na pierwszych stronach zamieściła artykuły pt. „Małpi teatr Mr. Graumana likwiduje się", Katarzyna Hepburn stała się przez to jeszcze bardziej popularną.

Ksiądz Stanisław

(Nowela wielkanocna)

Pierwsze wiosenne promyki słońca zajrzały do okna wikarówki i spoczęły na pochylonej nad brewiarzem głowie księdza Stanisława.

— Och, słonko, znowu wiosenne słonko...

Ksiądz Stanisław odłożył brewiarz, otworzył szeroko okno i stanął w nim okazały, z bladą, piękną twarzą, w aureoli jasnych włosów. Promienie słoneczne oblały go złotą łuną. A on uśmiechał się do nich, mrużył oczy, patrzył i myślał...

Oto idzie znowu wiosna. Zakwitną ponownie liliowe bratki i białe stokrocie w klombach proboszczowskiego ogrodu, zazielenią się trawki i powrócą ptaszęta...

Odrodzi się to, co umarło, powróci to, co odeszło...

Ksiądz Stanisław westchnął...

Pomyślał właśnie o swoich owieczkach. Bo z duszami jego owieczek jest akurat tak samo, jak z tymi białymi stokrociami i odlatującymi ptakami — odradzają się stale i znowu zamierają, powracają i odchodzą. Biedne, zmienne, grzeszne dusze...

— Ale, Boże bądź mi miłościw! Nie do mnie należy roztrząsanie Twoich zarządzeń. Możem zbyt surowy, pragnąc widzieć powierzone mi duszyczki — nieskalane niczym i czyste, jak białe śniegi. Możem niesprawiedliwy, buntując się na swoją bezowocną pracę. Każdy człowiek wszak jest tylko człowiekiem, słabym i grzesznym... Boże, bądź mi miłościw!..

I ksiądz Stanisław pochylił kornie głowę, bo zadzwoniono właśnie na Angelus...

— Księżuniu, a dyć konie przyszły! W Połominie czekają już na dobrodziejka z święconką!... — przerwał nagle księdzu modlitwę śpiewany głos proboszczowskiej gospodyni.

— Ach, prawda! Przecież to dzisiaj Wielka Sobota. Ludziska czekają po chatach z święconym. Na śmierć zapomniał o swoich ziemskich sprawach, pogrążony w kontemplacyjnej modlitwie.

— Już idę, niech mi tylko Wiktosia przyniesie płaszcz! — zakrzątnął się żywo po pokoju.

— Oj, księżuniu, dzisiaj choćby i bez płaszcza. Ciepło i cudnie, że proszę! Dobrze nam, milusio, nie tak jak Szlomie...

— A cóż z nim? — przerwał żywo wikary.

— Et, księżulku, nie warto i mówić. Zamrze lada chwila poganin. Zatwardziały był za życia, więc teraz nikt do niego nie zagląda. Niech zdycha, dosyć ludzkiej krzywdy ma na sumieniu. Pamiętam, jak dziś, jak łupił ludziom skórę, ladaco...

Ksiądz Stanisław nie słuchał dalej. Tak, jak stał wskoczył na bryczkę.

— Nie do Połomin, nie, najpierw na Falszówkę! — zmitygował woźnicę.

Na Falszówce, w starej na pół rozwalonej chacie mieszkał Szloma Kosierek, niesumienny lichwiarz i wyzyskiwacz.

Nikt do niego nie zaglądał. Leżał więc samotnie, jak łazarz, na brudnym tapczanie i wyglądał końca swego marnego żywota. Na nic już nie czekał, bo nikt i nic już nie mogło przecież przyjść do niego. Ludzie? O, ludzie mogą darować krzywdy, ale ich nie zapominają, a więc nie przyjdą oni do niego. Zdarzenia? O, Szloma miał wiele zdarzeń w życiu, ale zdarzenia czekały go zawsze na gościńcach a nie tutaj w tym ciasnym zaułku. Nikt i nic więc już nie przyjdzie, nic i nikt! O, Jehowa! Jehowa!

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Żyd zadrżał. Poznał bowiem jasny głos księdza Stanisława. To święty człowiek, Szloma miał zawsze dla niego poważanie.

— Bracie mój, czy ci może czego potrzeba?... — spłynęły ku niemu ciche, dobre słowa.

Szloma zadrżał znowu w jakimś okropnym strachu...

Czyż to możliwe, aby ksiądz Stanisław, anioł nie człowiek, przemawiał do starego lichwiarza i nieuczciwego wyzyskiwacza w ten sposób? O, Jehowa! Nikt do niego jeszcze w ten sposób nie przemawiał! Przez całe życie inne słowa obijały się o jego uszy — twarde, jak kamienie i złe, jak świst wiosennych wiatrów. Od tych słów tak stępiała Szlomowa dusza, że nic jej już nie wzruszało. Ani płacz, ani prośby, ani wyzwiska i obelgi! I oto takie słowa!...

— Widzę, że cierpisz, bracie mój...

O tak, Szloma cierpiał, pierwszy raz w życiu, ale równocześnie było mu tak dziwnie dobrze! Poprosił też o wodę, a później jeszcze o coś, byle ksiądz nie odszedł i został z nim jak najdłużej. Dzika, brudna dusza tajała w słońcu bratniej miłości.

— Jam żyd, i człowiek zły, więc jak się to stało, że ty, człowiek dobry, przyszedłeś do mnie?

— Chcesz, to uczynię cię również dobrym!

— było jedyną odpowiedzią.

Szloma rzucił się na tapczanie. Aha, więc to tak? Księdzu Stanisławowi chodzi zapewne tylko o pozyskanie go na wiarę katolicką. O, że też tak późno wpadł na tę myśl!

— Nie chcę, księże, nie chcę i proszę, opuść zaraz chatę brudnego żyda — szachraja. On i teraz nie potrzebuje niczyjej pomocy, skoro jej w życiu nigdy nie potrzebował...

— Dobrze, pójdę, skoro sobie tego życzysz, ale wpierw przyniosę ci jeszcze dzban świeżej wody i poprawię twoje wezgłowie...

I białe, delikatne ręce uniosły kudłatą głowę żyda i podłożyły pod nią miękką poduszkę. A potem te same ręce przyniosły w glinianym dzbanie świeżej wody. O, błogosławione ręce!

— Ostańcie z Bogiem, Szloma! Czas już na mnie! — z tymi słowami ksiądz Stanisław skierował się ku drzwiom.

— Nie odchodź, proszę, księże, zaczekaj Czy widzisz tę skrzynię, ot, tam za piecem? Weź ją, księże! — zawołał nagle Szloma.

Ponieważ jednak ksiądz Stanisław nie ruszał się, żyd zaczął mówić. I o tym, że w tej skrzyni jest tyle pieniędzy, ile liści na drzewie, ile ziarnek w zbożu i o tym, że te pieniądze zbierał całe życie, aby mały Szmulek i mądra Ryfka, dzieci jego córki Sary, nie cierpiały nigdy w życiu nędzy, tak, jak on musiał cierpieć. Aby nie potrzebowały one mieszkać w zimnej chacie, ale w pałacu. By nikt ich, jak jego, Szlomę, nie przeklinał i obrzucał wyzwiskami, lecz aby ludzie mówili im delikatne, łagodne słowa. Dla Szmulka i Ryfki pracował przez całe życie Szloma, dla Szmulka i Ryfki krzywdził i oszukiwał ludzi chociaż oni nigdy nie kładli na głowę dziadka tak miłośnie rąk, jak to uczynił ksiądz Stanisław, przeciwnie, wyśmiewali go... „Jest.ś brzydki i brudny, dziadku, fe!" — mówiła mądra Ryfka, a Szmulek, gdy zobaczył dziadka na ulicy, pokazywał mu język, a potem chował się za murem.

A jednak Szloma, mimo wszystko, kochał zawsze tych małych urwisów. W tej chwili był jednak daleki od nich. Czuł tylko na sobie pieszczotę dobrych słów i dotyki łagodnych rąk. I za tę pieszczotę i te dotyki dawał księdzu wszystko, co było mu najdroższe.

— Kupisz sobie pałac, księże, z jasnymi oknami i dużym sadem, weź wszystko, bardzo proszę!

Ale ksiądz Stanisław machnął ręką.

— Dziękuję wam, Szloma, nie trzeba mi pieniędzy, ani pałacu. Chcesz, to wyślę twoje pieniądze Sarze, aby mądra Ryfka i mały Szmulek mieli lepiej w życiu, niż ty miałeś...

Szloma otworzył ze zdziwienia szeroko oczy i wyciągnął gdzieś przed siebie ręce.

— O, Jehowa! Jehowa!... Jeżeli wyzdrowieję, będę modlił się tylko do Boga, który jest Bogiem księdza Stanisława. Wielki jest ten Bóg, skoro Szloma czuje Go w swoim małym sercu. Jak tylko wyzdrowieję...

— Ach, Szloma, Szloma, nie odkładaj na później tego, co może już teraz stać się twoją radością — rozległy się drżące, ciche słowa.

Żyd podniósł głowę i zobaczył w oczach księdza Stanisława, pałających się nieziemskim światłem, łzy...

— — — — — — — —

Długą aleją brzezinową idzie wolno ksiądz Stanisław, otulony w ciemną pelerynę. Dzwony rezurekcyjne grają radośnie na Zmartwychwstanie. Ksiądz Stanisław zasłuchany w ich pieśń, uśmiecha się. Myśli o Szlomie, o jego duszy, która uleciała cicho w późny, wielkosobotni wieczór do Bożych stóp. Uleciała czysta i spokorniała, wolna od brzemion winy, wybielała w słońcu wielkiej, ziemskiej dobroci i łaski Wielkiego Boga, który każe odradzać się duszom, jak kwiatom w dni wiosenne i który zwołuje do siebie zbłąkane dusze, podobnie, jak zwołuje błędne ptaki do ich własnych gniazd.

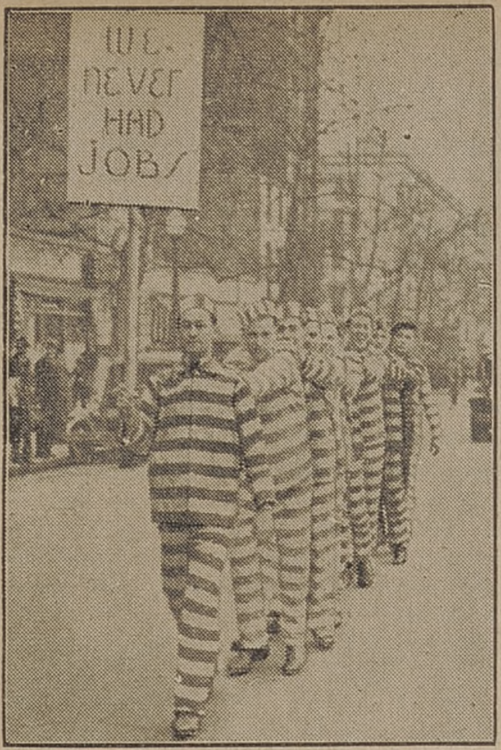
Maria Zemmlerówna.

*

* *

O bądź nam pochwalon, Panie,
Za wiosny Twej Zmartwychwstanie!
O bądź nam pochwalon, Boże,
Za święta, któreś nam stworzył!
Za wielką kwietniową ciszę,
Którą mogą strudzeni słyszeć.
Za słowa najprostsze i dobre,
Za baranka, za biały obrus.
Za wiatr, co polami wieje,
Za Wielkanocną nadzieję.
Za uśmiech na matki ustach,
Za sady w różanych chustach
i za to, że wszyscy, wszyscy
Stajemy się niebu blizcy.

L. K.



W Ameryce bezrobotni urządzają liczne demonstracje, chodząc po ulicach miasta w dziwacznych kostiumach, z transparentami, na których są wypisane słowa: „Myśmy jeszcze w ogóle nie pracowali!"

Z głosu jej biła taka trwoga, że Sylwia zachęciła ją serdecznie:

— Niech pani mówi, bardzo proszę, będę szczęśliwa, jeżeli będę mogła dać pani potrzebne informacje.

Przybyła spytała więc Sylwię, czy bywała ona u Fellhuberów i czy zaglądała kiedy do ich dworku.

— Próbowałam — odpowiedziała Sylwia — ale stara wypędziła mnie opryskliwie.

— A cóż się stało z ich dziewczyną? — spytała obca drżącym głosem.

— Wyszła za jakiegoś bardzo bogatego, obcego pana — odpowiedziała Sylwia, uspakajając ją — ona jest bardzo piękna, nic więc dziwnego, że się ten nieznajomy w niej zakochał.

Ku ogromnemu jej zdziwieniu, obca dama, uścisnęła ją.

— Ach, jakże jestem pani wdzięczna, że pani tak życzliwie mówi o Hortensji — szepnęła. — O, gdyby pani wiedziała, jakim balsamem na moje zranione serce są słowa pani.

Rozpłakała się i ukryła twarz w jedwabnej chusteczce. Gdy po chwili odjęła ją od oczu, zauważyła Sylwia ze zdziwieniem na jej twarzy krwawy, czerwony pas, pochodzący najwidoczniej od uderzenia szpicrutą.

Zadrżała i z litością patrzyła na piękną nieznajomą, która opanowała już swój ból i uspokoiła się nieco.

— Nie wie pani — spytała — czy młoda para wyjechała do Wiednia?

— Niestety, tego nie wiem — odpowiedziała Sylwia.

— Nie wie pani — szepnęła przybyła — ach, ja nieszczęśliwa? Niech mi pani wybaczy, że ją trudziłam, dziękuję pani serdecznie.

Chciała odejść, ale taka była przygnębiona, że Sylwia zdjęta litością, zatrzymała ją.

— Niech pani jeszcze zostanie — prosiła. — Mamy gościa z Wiednia, który to miasto zna bardzo dobrze. Może on będzie mógł pani coś powiedzieć.

— Ach, Wiedeń jest wielki — szepnęła nieznajoma — byłoby cudem wprost, gdyby on znał adres Waldaua. Tyle dziś doznałam rozczarowań, że nie spodziewam się żadnej pomyślniejszej wiadomości.

Sylwia zbyt była taktowną, aby się wypytywać, pocieszała ją tylko, jak mogła. Opowiadała jej, jakim sposobem dostała się do domu Fellhuberów i stale chwaliła Hortensję.

Rozmowę przerwało wejście agenta.

— Nie wie pan czasem, gdzie mieszka we Wiedniu Leon Waldau?

— Akademik i żonaty? — spytał Jeremiasz.

— Nie wiem, czy jest akademikiem, ale jest żonatym.

— Mieszkał on we Wiedniu u pani Neumeister, Schönbrunnerstrasse 33.

Sperling wiedział doskonale, że Leon już tam nie mieszka, uważał jednak za stosowne nic więcej nie mówić.

Sylwia napisała adres na kawałku białego papieru.

Księżna podziękowała jej serdecznie i pożegnała ją.

— Mayer jest w drodze do Ameryki — opowiadał cicho agent Sylwii po odejściu księżnej. — Przed odjazdem był po coś u barona. Czy baron ma jakiego kamerdynera?

— Ma we Wiedniu, tutaj usługuje mu służba nieboszczyka hrabiego.

— Mayera w Ameryce szukać nie sposób — mruknął agent.

— Naturalnie — potwierdziła Sylwia — ale za to może pan wziąć pod obserwację kasztelana Alojzego z Felseg. On na pewno nie ma czystego sumienia.

— Czy trafiłbym sam do Felseg, czy potrzeba mi przewodnika?

— Najchętniej zaprowadziłabym pana sama, ale obawiam się, aby Alojzy od razu nie spostrzegł o co chodzi. Muszę więc z tego zrezygnować. Czy weźmie pan sztalugi ze sobą?

— Ależ tak — odpowiedział Sperling z uśmiechem — jutrzejszy dzień zapowiada pogodę, trzeba go będzie wykorzystać.

Sylwia zamyślała się głęboko, a następnie odpowiedziała:

— Jest tutaj młody chłopiec, cygan, Ignacy. Ten mógłby służyć panu za przewodnika. On załatwia kasztelanowi wszelkie sprawunki w mieście. Jeżeli pan przed nim będzie udawał, że pan nie wierzy, iż w zamku są podziemia, to on z pewnością zechce je panu pokazać.

— Czyż on tu jest we wsi? — spytał Jeremiasz.

— Nie, cyganie mają obóz swój niedaleko wsi — ze dwie godziny drogi od nas. Jeżeli pan nie czuje się zmęczonym, pójdę z panem chętnie do obozu.

— Hm, cztery godziny drogi w obydwie strony — medytował agent.

Był niezadowolony.

— Możemy jechać — zaproponowała Sylwia. — Wprawdzie droga niewygodna, są wyboje i kamienie, ale przejechać można.

— Dobrze — zgodził się Mehlhose.

Sylwia włożyła na domową suknię podróżny płaszcz, włożyła jesienny kapelusik na krótkie loki, które zaczęły bujnie pokrywać jej głowę i udała się do kuchni, by się pożegnać z matką.

— Czy wrócicie na kolację? — spytała pani Herbertowa.

— Oc ywiście, pan Mehlhose chce tylko zobaczyć pewien ciekawy krajobraz, wrócimy więc wcześnie. Do widzenia, mateczko!

— Do widzenia, moje dziecko!

W kilka minut później byli już w drodze.

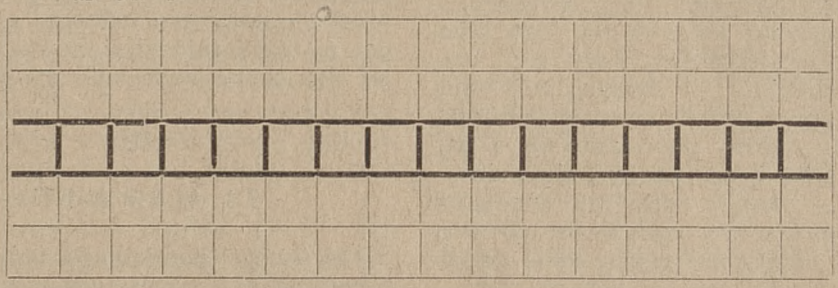
Okazało się, że tajny agent umiał bardzo dobrze powozić.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF WIELKANOCNY

ul. M. T.



W powyższą figurę należy wpisać pionowo 16 miejscowości polskich, a rząd środkowy, poziomy, da nam rozwiązanie. Dla ułatwienia podajemy województwa w których leżą poszczególne miejscowości.

1) Województwo wołyńskie. 2) pomorskie. 3) poleskie. 4) poznańskie. 5) lwowskie. 6) nowogrodzkie. 7) poznańskie. 8) warszawskie. 9) warszawskie. 10) wileńskie. 11) białostockie. 12) pomorskie. 13) poznańskie. 14) poznańskie. 15) nowogrodzkie. 16) łódzkie.

ZAGADKA

pod. „Em—zet.

Nosi wzorzyste szaty
Przez kilka miesięcy
I prócz snów pięknych —
Nie daje ludziom nic więcej.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 2 kwietnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 11 „Moich Powieści": Konikówka: „Nie ten jest skromny, kto słucha pochwał, lecz ten, kto skromnie i z pokorą słucha nagany". Łamigłówka sylabowa: 1) Czad. 2) Zraz. 3) Unja. 4) Więc. 5) Adam. 6) Jajo. 7) Dama. 8) Puch. 9) Uran. 10) Cena. 11) Hala. 12) Udać. Całość: Czuwaj druhu!

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Maria Dziomdziorzanka — Łódź, „Rozkoszna Dziewczynka II.", Edmund Wyrobek — Chojnice, „Banialuka", L. Majchrzycka — Daszewice II., Elżbieta Faberówna — Katowice, Anna Kotowiczówna — Kraków, Wiesława Gackowska — Iwanczany, Robert Wande — Królewska Huta, Ignacy Nowicki — Parczew.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: L. Majchrzyckiej z Daszewic i Ignacemu Nowickiemu z Parczewa.

ADAM CZEKALSKI

2)

Sen o zemście

OPOWIEŚĆ STAROPOLSKA

Damy w sukniach z bufiastymi rękawami, ściągnięte mocno w pasie, skutkiem czego miały ogromne podobieństwo do pszczół, albo-li do os, co tym było wiernie sze że już wtedy i żądełko poczynały mieć dość cięte. Fryzury wysoko upięte na czubach głów, z lokami opadającymi na głęboko wydekoltowane łona, muszki na twarzach, z których każda co innego znamionowała i mówiła — dopełniały toalety.

Hrabianka Strutyńska, albo, jak to wtedy powiadano — douce Hedwige, była już gotowa do pokazania się na sali balowej i robiła ostatni przegląd przed lustrem, gdy weszła pani starościna-matka.

— No, pójdź, Hedwige — już czas — rzekła.

— Czy dużo mamy gości?

— Tłumy różnolite — sama zresztą obaczysz.

Poszły ku sali balowej.

Pan starosta szakinowski dbał dziś wielce o to, aby stary kasztelan brzeski wyniósł z tego balu wrażenie jak najlepsze, gdyż siła od niego zależała. Był to bowiem we frakcji księcia Panie Kochanku mąż wielkiej zażywający powagi i jego słowo, jego rada wielce u księcia pana ważyły. A poza tym, był to przecież wuj Jana Ciechanowieckiego. I jeśli we frakcji kasztelan brzeski był na swoim odcinku głową, starosta opeski był rękami, które wykonywały przy pomocy przyjaciół wszelkie prace. Dlatego to ów bal, chociaż pod innym pozorem wydawany, niby dla wprowadzenia pięknej Jadwigi „w świat", w gruncie danym był wyłącznie dla starego kasztelana i dla zapoznania Jana Ciechanowieckiego z uroczym zjawiskiem. To też postarano się, aby wypadł on świetnie, i nie szczędzono kosztów na jego urządzenie i uświetnienie. Lały się tedy miody stuletnie i drogocenne wina, zgromadzono przedstawicieli najświetniejszych rodów, postarano się o najlepszą, jaką tylko zdobyć się dało — kapelę, w końcu zaś, już specjalnie dla pana starosty opeskiego, postanowił graf Strutyński wprowadzić na salę córkę, pokazać mu jej wdzięki.

Jakoż weszła ona w towarzystwie matki, nieco zastrachana, zarumieniona, zalana złotą łuną przepysznych włosów, wyglądająca na anioła, który nagle zstąpił z nieba na tę salę gwarną, aby olśnić wszystkich swoją krasą. Kiedy weszła na salę balową z głęboko odchyloną koronką na dziewczęcym biuście, spięta w pasie wysoko, prawie pod pachami amarantową wstążką i spływająca atłasowymi robronami i falbankami aż do ziemi — szlachta zaniemówiła od wrażenia. Pierwszy raz ją widziano. Pan pułkownik Ciechanowiecki, choć doskonale wyrobiony na zagranicznych salonach, śmiały i mający za sobą dużo sukcesów u niewiast, ledwo się zdecydował zbliżyć i rycerskim ukłonem powitać zjawisko. A panna Jadwiga pod gradem loków, związanych także amarantową wstążką w piramidkę, spojrzała nań urokliwie, długo, zanadto długo. Usta małe, jak poziomka, rozchyliły się jakby coś rzec chciały, ale nie rzekły słowa, tylko zalśniły rzędem perełek.

W niemym zachwyceniu pan pułkownik Ciechanowiecki oczu oderwać nie mógł od przecudnego zjawiska. Patrzył długo i ciekawie i spostrzegł, że douce Hedwige patrzy na świat powłóczyście i dziwnie poprzez rzęsy tak długie i tak gęste, iż podziw budziły i że rzęsy te dawały granatowy odcień piwnym oczom, ogromnym, marzącym, przynaglającym do zachwytu.

— Madame — wyszeptał wreszcie starosta Ciechanowiecki, kładąc rękę na kontuszu — kto widział większe paroksyzmy serca, jak te, które wzbudziła twoja nadziemska postać?

— Widać, mości starosto, że serca wasze są łatwe do paroksyzmów... — odpowiedziała starościanka głosem niskim, stłumionym, a tak ciepłym, że ciarki przeszły po zahartowanej skądinąd skórze młodego pułkownika huzarów.

— Zechcesz-li być lekarzem na dolegliwości? — szepnął jeszcze ciszej.

Starościanka udała zdziwienie. Wysoko podniosła brwi nad swymi dziwnymi, ciemno-piwnymi oczami.

— Bardzo waćpanu dolega ta.. dolegliwość?

Teraz z kolei zdziwił się pan Jan. Panny podówczas nie mawiały tak śmiało, choć znacznie już odbiegły od pierwowzoru prababek. Byłby się może nawet zgorszył — ale gdzie mowa o zgorszeniu, gdy go wabiły takie oczy? W dodatku kapela uderzyła w ton poloneza — zaszumiało, zahuczało — i pan pułkownik, skłoniwszy się, ujął boginię za końce palców i poprowadził w tan, podczas gdy z boku stojący i perorujący graf Strutyński, podkręcał wąsa i uśmiechał się chytrze. Wszystkie ryby połknęły haczyk. Lecz nie mógł nie przyznać jednego, a mianowicie, że oboje młodzi stanowią parę, jakby dla siebie wyłącznie stworzoną.

III.

TA ALBO ŻADNA

Od owego pamiętnego balu u grafa Strutyńskiego, pan starosta opeski zmienił się do gruntu. Nie był to już ów wesoły, beztroski kompan, przechodzący nad miłostkami z lekkim sercem do spraw publicznych, by nigdy do nich nie wrócić, mężny szermierz idei księcia Panie Kochanku, którą reprezentował. — Wszystko to, co jeszcze niedawno tak bardzo go pasjonowało, czym żył w dotychczasowym swoim życiu, a bez czego w ogóle życia sobie nie wyobrażał — odbiegło odeń, przestało go interesować.

Piwne oczy cudnej boginki urzekły go i teraz nie był w stanie myśleć o czymkolwiek innym, jak tylko o pięknej Gidze, jak ją w myślach zdrobniale nazywał. Ona i tylko ona panowała niepodzielnie w jego myślach.

Pragnął znowu zobaczyć ją i pomówić choć na moment, ale okazji wciąż po temu nie było. Mógł wprawdzie pojechać do Strutyńskich z wizytą i na pewno byłby mile widzianym i przyjętym, ale nie chciał. Pragnął porozumieć się z piękną Gigą na gruncie neutralnym, w atmosferze równej dla obu stron.

Aż w końcu zdarzyła się tak upragniona przez młodego pułkownika okazja na gruncie już nie tylko neutralnym, ale dla niego ogromnie przychylnym, bo w domu wuja, pana kasztelana brzeskiego.

Rewanżując się za tak wspaniałe przyjęcie w domu grafa, wydał pan kasztelan brzeski bal u siebie, na którym znalazła się zarówno urocza Giga, jak i jej cichy dotąd wielbiciel, pan starosta opeski.

Pan Jan od pierwszej chwili przystał na owym balu do boku uroczej rusałki i już jej nie odstępował ani na krok. Bawił ją przy stole opowiadaniem o zagranicy i dowcipnymi dykteryjkami, rzucał wieleznaczące, namiętne spojrzenia, chwilami wzdychał, a gdy poszli tańczyć, szeptał jej do misternie rzeźbionego uszka czułe słówka, od których panna starościanka to kraśniała jak róża, to znowu bladła z wrażenia, albo śmiała się śmiechem do dzwonienia srebrnych dzwoneczków podobnym i przekonała się:

— Czy to na zagranicznych salonach uczono waszmości, jak oplatać i kusić trzeba młode i niedoświadczone dziewczęta.

— A jeśli to kuszenie i oplatanie jest prawdą serca i wyrazem głębokiego afektu, jaki mam dla waćpanny?

— Eh, nie wierzę...

— Czy mam tuż zaraz dać tego publiczny dowód?

— O, nie, nie!... Jeśli się nie uspokoisz, panie starosto, zostawię cię samego w tańcu i zbiegnę.

— Czyżem ci taki niemiły, mościa starościanko?

— Ja tego nie powiedziałam.

— Ale jawnie dajesz mi to do wyrozumienia.

— Nigdy nie trzeba dorozumiewać się więcej, niż można.

— Ach! Ja pragnąłbym dorozumiewać się znacznie więcej, niż na to pozwala mi skąpość twoich słów, mościa starościanko... Zaliż nie odczuwasz tego, że ja gorzeję cały z afektu dla ciebie? Zaliż serce twoje z kamienia, że nie czujesz owego żaru?

— Owszem, czuję — i to znakomicie, ale nie chcę go podsycać w obawie wywołania pożaru, który mógłby waćpana spopielić. A szkoda byłaby tak grzecznego kawalera.

— Mościa starościanko — nie doprowadzaj mnie do desperacji.

— Ah, nie mam takiego zamiaru. Przeciwnie, życzę waszmości dużo — dużo spokojnych chwil.

Nowa figura menueta, którego tańczono właśnie, rozdzieliła ich na chwilę. Pan starosta opeski do tego stopnia był zaabsorbowany piękną rusałką uciańską, iż nawet nie dosłyszał, co doń mówiła jego nowa tancerka. Dopiero

gdy łagodnie trąciła go wachlarzem w rękę, ocknął się i wyrzekł:

— Ach, pardon!.. Czy mościa pani coś mówiła?

— A tak — odrzekła panna gniewnie — mówiłam, że pan starosta opeski stracił dziś głowę.

— Raczej serce — przyznał się szczerze — a to daleko boleśniejsze, niźli utrata głowy.

Na szczęście przyszła nowa figura tańca i pan starosta powrócił do pięknej Gigi, a tak był z tego rad, że nawet radości tej ukryć nie próbował.

— Czy to znajoma waszmości, panie pułkowniku, owa niewiasta, z którą tańczyłeś?

— Nie — pierwszy raz ją oglądam dzisiaj.

— Ejże... Mnie się wydaje, że to pewnie jedna z ofiar złamanego serca waszmości, która wyrzuca'a ci zdradę.

— O, tak, wyrzucała mi, że oddałem serce niewieście bez serca — odciął się pan starosta Ciechanowiecki.

Panna starościanka spoważniała naraz.

— Waszmość źle mnie sądzisz — rzekła mętnie.

— A jejmościanka źle mnie traktujesz.

Wrócili do stołu oboje posępni. Czujne oko matki dojrzało zmianę w usposobieniu córki i zaraz wzięła ją na spytki. Pana Jana zaangażowano do młodej, wesołej kompanii, gdzie gęsto wędrowały kielichy.

Do żony i córki podsunął się graf Strutyński. Wysłuchał opowiadania córy i zmonitował ją zaraz za złe obchodzenie się z młodym pułkownikiem.

— Asindźka źle robisz, obojętnie traktując pana Ciechanowieckiego. To zacny młodzian.

Douce Hedwige sama doskonale zrozumiała, że trochę po macoszemu potraktowała pana starostę opeskiego, który, przyznawała to w skrytości swego serca, podobał jej się okrutnie. Młody, przystojny, dobrze wychowany, towarzysko obyty na salonach zagranicznych, a przy tym — możny, mimo młodości — już sławny, mógł się podobać każdej, nawet tak, jak Hedwige, urodziwej pannie.

To też gdy pan Jan wyrwał się z wesołej kompanii i znowu przybiegł do boku swej bogdanki, nie uszło jego uwagi, że powitała go ona niemal z radością w swych przepastnych, jak głębie morskie — oczach.

— Kompanowie gniewni będą, że ich waszmość opuszczasz d'a kompanii niewieściej — rzekła miękko swym niskim melodyjnym głosem.

— Ach, cóż mi kompania tych panów! — zawołał pan pułkownik. — Stokroć nad nią przekładam kompanię tam, gdzie serce ciągnie.

Oboje rodzice panny, stojąc na uboczu, pilnie obserwowali młodych ludzi, nie mogąc zaprzeczyć, że oboje są sobie równi urodą i krasą i godni siebie.

Kapela odpoczywa'a, a w dalszych komnatach szumiał gwar licznych głosów, dźwięczały kielichy i wybuchały śmiechy radosne w różnych intonacjach.

Przez szyby wielkich okien drzwi, prowadzących na werandę i do pięknie



W Tunisie doszło w ostatnich tygodniach do niebezpiecznych rozruchów wywołanych przez Arabów wśród tamtejszych mieszkańców. Dla bezpieczeństwa, miasto zostało obsadzone żołnierzami Legii Cudzoziemskiej. Zdjęcie nasze pokazuje szereg aresztowanych Arabów.

utrzymanego ogrodu, zaglądał miesiąc, jakby się dziwując.

Pan starosta opeski przechadzał się wolno z piękną rusałką uciańską, aż zbliżyli się do drzwi.

— Czy nie miałabyś madame, ochoty przejść się po ogrodzie? — zaproponował. — Noc ciepła i jasna.

— Chodźmy, świeże powietrze dobrze nam zrobi po duszności tej sali — zgodziła się.

Pan Jan pchnął drzwi i fa'a świeżego, ciepłego powietrza sierpniowego hurmem wdarła się wraz z poświatą miesięczną do sali. Wstąpili na oszkloną werandę, pełną zapachów zgromadzonego tu kwiecia. Pułkownik podał elegancko ramię bogdance i zeszli do ogrodu. Było tu widno jak w dzień. Ogromna tarcza miesięczna płynęła po jasnym wygwieżdżonym niebie, a blask jej rzucał gęste cienie drzew na ziemię.

— Cuda noc... — wyszeptała panna.

— Cudna i usposabiająca do marzeń. W takie wieczory człowiek samotny dopiero czuje, jak ciężko być samotnym.

— Czyżbyś waszmość, panie pułkowniku, odczuwał w tak młodym wieku ciężar samotności?

— Dawniej nie czułem go, bo wystarczał mi wir życia publicznego, kompania dobrych towarzyszy, szklanica, koń i łowy... Ale od czasu, gdy danem mi było spotkać bóstwo, które z Olimpu zstąpiło na ziemię, by mnie, śmiertelnego olśnić, urok na mnie rzucić — już mi to nie wystarcza. I serce i dusza domagają się innego karmu.

— Trzeba go poszukać.

— Już znalazłem.

— Czyżby? Cóż to za karm? Jak się zowie?

— Zaliżbyś go się, madame, nie domyślała? Jakiż inny może być karm dla serca i duszy, prócz miłości? Ona i tylko ona może zaspokoić spragnione serce. Madame! — zawołał naraz pan starosta, przystając i biorąc pannę za ręce. — Madame! Od chwili, w której oczy moje po raz pierwszy miały szczęście zobaczyć ciebie — rozumiem jedno, że miłuję cię, jak źrenicę oka, jak duszę własną... Czy zechcesz odpowiedzieć na wołanie mego stęsknionego twego widoku i spragnionego miłości serca?

Jadwiga spuściła powieki na głębie swoich oczu, a blask miesięczny kładł głęboki cień na twarzy od jej czarnych, długich i gęstych rzęs. Pierś falowała głęboko wzruszeniem i serce odczuwało słodycz bezmierną, a słowa pana starosty brzmiały w jej uszach, jak uroczysta i wspaniała muzyka. Już się teraz nie broniła konwencjonalną konwersacją światową i żartami, jak jeszcze niedawno, bo czuła, że nie mogłaby teraz wyrwać się z tego uroczystego i błogiego nastroju i przejść do pustej gadki salonowej. Teraz ona, jak przedtem pułkownik, doznawała wrażenia uroku rzuconego na siebie przez tego bujnego, pełnego życia młodzieńca.

— Odpowiedz, madonne — szeptał pułkownik. — Czy zechcesz dzielić ze mną dolę życia? Czy zechcesz mi być dobrym duchem, który będzie krzesał radość i szczęście swoim spojrzeniem, uśmiechem, dobrym słowem? Czy zechcesz powiedzieć, jako ta starożytna Caia: „Gdzie ty Caius, tam i ja Caia"?

Słowa pułkownika tchnęły żarem, który ogarniał młodą i po raz pierwszy stykającą się praktycznie w życiu z miłością dziewczynę. Czuła, że zaczyna jej brać ogromnie gorąco, jakby jej kto zarzewia do piersi nasuł, że serce bije tak gwałtownie, jakby z piersi wyrwać się zamierzało, a całą ją ogarnia błogość przedziwna i słodkość rzewna i radość niepojęta, a wspaniała.

— Odpowiedz... Odpowiedz, czy chcesz być duszą mej duszy i myślą mych myśli... mem ukochaniem jedynym, cudnym, moją i tylko moją, dopóki bicia serca, tchu w piersi, dopóki życia i myśli?..

A ona przechyliła tylko do tyłu głowę, oblana srebrem blasków, i rozchyliła nieco usta, maleńkie jak poziomka



W związku z światową wystawą w Paryżu, która zostanie otwarta 2 maja br., dokonano wyboru „miss wystawy". Po długich obradach zaszczytny tytuł otrzymała p. Champs Elyzées.

i czuło się, że chociaż nie odpowiada na jego wezwanie, przecież godzi się, bo cała jej istota odpowiada „tak"...

— Mojaś ty... moja... — wyszeptał pan Jan i ogarnął ramieniem dorodną kibić starościanki, przygarnął ją do piersi i usta jego, namiętne, rozpalone, dotknęły łagodnie, niby świętości jakiejś, nabrzmiałych żarem krwi maleńkich ust Gigi.

I oboje wraz poczuli, jakby nagle spadali w jakąś ogromną przepaść bez dna, a to trwanie we wspólnym uścisku, podczas tego przedziwnego a najsłodszego spadania — wydało im się jednym z najwspanialszych cudów.

IV.

W ZACZAROWANYM RAJU

Na balu w Opsie u pana Ciechanowieckiego, wydanym na cześć swego bóstwa, doszło do ostatecznych rozmów między obu stronami. Ale zakochany na śmierć młody pułkownik zdał wszelkie kłopoty porozumień i formalnych oświadczyn na wuja kasztelana brzeskiego, prosząc tylko o postawienie jednej kondycji: aby ślub odbył się jak najrychlej.

— Ależ chłopcze — bronił się staruszek — przecież sprawy tak poważnej i ważnej, jak małżeństwo, nie można traktować na łap-cap, lecz z rozwagą i statecznie.

— Nie zdzierżeć mi długo bez mojej bogini, za nic nie zdzierżeć...

— Ależ miłuj, miłuj, tego ci nikt nie wzbrania, jeno pamiętaj o jednym, że nikt roztropny z miłowania nie umiera.

— Ja też umierać nie mam ochoty, ale owszem — pragnę żyć i żyć, bo teraz dopiero rozumiem czym jest życie w szczęściu.

Kasztelan zatkał uszy dłońmi.

— Dobrze, dobrze, daj ci Boże długi i szczęśliwy wiek, a tymczasem pozwól rozmówić mi się z panem grafem Strutyńskim.

I kasztelan, nie słuchając dalszych próśb siostrzana, poszedł wolno, majestatycznie w stronę, gdzie siedział graf.

— Czy wasza miłość pozwolisz ze mną na słówko? — zagadnął kasztelan.

— Najchętniej służę waszej miłości.

Obaj panowie wzięli się pod ramiona i poszli wolno do oddalonej komnaty, w której mogli swobodnie rozmawiać. Pan Michał Ciechanowiecki, który wtajemniczony był w sercową sprawę brata, pchnął za obu panami pacholika z kielichami i gąsiorkiem omszałym przedniego, wiekowego wina.

Kasztelan siadł naprzeciw gościa, napełnił kielichy i podniósł napój do góry.

— W ręce waszej miłości.

— Daj Boże.

Wypili.

— Obligowany przez mojego siostrzana, starostę opeskiego — zagaił kasztelan — pozwoliłem sobie poprosić waszą miłość na chwilkę rozmowy.

— Słucham waszą miłość z uwagą.

— Hm... — kasztelan chrząknął i oczy lekko przymrużył. — Hm... siostrzan mój oznajmił mi, iż zapłonął szczerym afektem do córy waszej miłości, którą z największym dla siebie szczęściem, a z wolą waszych miłości obojga rodziców — radby pojąć za żonę. Ośmielam się przeto zapytać waszą miłość, czybyłbyś skłonnym oddać mu swoją córę, jejmościankę Jadwigę — za żonę.

Z kolei graf chrząknął, nie odpowiadając, jakby chciał zyskać na czasie. Po czym dopiero po dłuższej chwili, odrzekł:

— Zaszczyt to dla mnie nie lada, iż tak grzeczny kawaler, syn szlachetnego i dostojnego, senatorskiego rodu, raczył zwrócić uwagę na ubogie, chudopacholskie moje progi, w których pragnie poszukać sobie żony. Juźcić przyjmuję ofertę, jeśli o mnie chodzi, pozwoli jednak wasza miłość, iż pani małżonki mojej, jako się godzi, o zdanie zapytam...

— I słusznie... Tuszę sobie atoli, iż zacna pani małżonka waszej miłości ofertę siostrzana mego, w imieniu którego mam zaszczyt prosić o rękę nadobnej córy waszej — również chętnym sercem przyjąć raczy.

Znowu wypito po kielichu słodkiego nektaru, wymieniono parę wysoce ugrzecznionych zdań i zapewnień głębokiej przyjaźni, po czym obaj panowie rozstali się, jeden — by poszukać żony, drugi znów — by ponieść szczęśliwą wieść siostrzanowi, który czekał jak na rozżarzonych węglach, o mało oczu sobie nie wypatrząc. A gdy spostrzegł wracającego z narady wuja, pobiegł mu żywo naprzeciw.

— I cóż? I cóż?

— Możesz powiedzieć, mój chłopcze, że w połowie wygrałeś sprawę — rzekł stary kasztelan.

— W po-ło-wie? Jakże to mam rozumieć?

— Nie inaczej tylko tak, że w ziemstwie sprawę wygrałeś, bo ofertę twoją przyjęto, ale musisz poczekać, co apelacja powie.

Gdyby nie sala balowa i liczne a ciekawe oczy, pan starosta opeski byłby w ogromnej radości wyściskał starego kasztelana. Pohamował się jednak i podziękowawszy w gorących słowach, pobiegł do uroczej Gigi.

— Gigo! — zawołał. — Jestem szczęśliwy, jak młody Apollo. Oferta moja przyjęta. Będziesz moją, mojem najmilszym kochaniem, moim najukochańszym duszkiem.

— Pst! Hamuj się, waćpan, bo na nas patrzą.

— A cóż mi tam! Niech sobie patrzą, niech mi zazdroszczą szczęścia i najpiękniejszej żony w całej Rzeczypospolitej.

— Janie — rzekła znowu doucę Hedwige zciszonym, lecz surowym głosem. — Pogniewam się, jeśli się nie pohamujesz. Czy chcesz narazić mnie na obmówiska ludzkie?

— Niechby się kto odważył! Na bigos bym go posiekał. Czyż ty, najsłodsza moja, możesz komukolwiek się narazić? Przed tobą na kolana powinni padać, ślady stóp twoich całować.

— Nie cierpię cię. Bacz-że szalona pałko, żeśmy jeszcze nie po ślubie i ludzie się patrzą.

— Niech się patrzą — niech się patrzą, niech się do syta napatrzą, bo później nie pozwolę im na to.

— A czemuż to? Chyba nie zamierzasz mnie waćpan więzić? Wiedz o tym, że ja nie znoszę żadnych więzów, choćby najsłodszych.

— Najmilszy mój aniele, jak możesz przypuszczać taką rzecz? — zgorszył się pan Jan.

Tymczasem, z kolei, graf Strutyński zaprosił pana kasztelana na rozmówkę, pragnąc go objaśnić, iż pani małżonka również wyraziła swoją zgodę, a zarazem omówić sprawy majątkowe. Otóż pan starosta szakinowski poinformował pana kasztelana, iż on, aczkolwiek chudopachołek w porównaniu z panem pułkownikiem Ciechanowieckim, przecież dziecięcia swego bez należytego wyposażenia z domu nie wypuści, ale owszem, oprócz wyprawy godziwej i dostojnej, 150.000 złotych polskich obiecuje.

Pan kasztelan podziękował i z kolei oznajmił, że siostrzan jego włada kilku dochodowymi królewszczyznami i siedmiu własnymi kluczami, z czego wniosek oczywisty, że dostatek mają oboje państwo młodzi zapewniony.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

11) **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

Uczynił wszystko, by Ewie zapewnić przyjęcie u ludzi mu najbliższych i dać pracę, której tak bardzo pragnęła. Znacznie spokojniejszy wracał do Hattenfelde. Przyniosło mu też pewną ulgę zwierzenie się z tajemnicy, która kamieniem ciążyła mu na duszy, a rozumne i dobrotliwe słowa wuja Fryca, które słyszał na pożegnanie, nie padły na grunt jałowy.

* * *

Z każdym dniem Ewa odnosiła się z większą niechęcią do matki, która od owej niefortunnej próby pozyskania urody Ewy dla własnych korzyści, zaprzestała wprawdzie dalszych usiłowań w tym kierunku, ale równocześnie zaniechała nawet pozorów czułości i całkowicie przestała na nią zwracać uwagę.

Szarlotta sypiała teraz do południa, następnie spędzała kilka godzin na sofie, czytając powieści, przy czym paliła mnóstwo papierosów i gryzła kandyzowane owoce. Gospodyni przynosiła wykwintne obiady, a przy żadnym wysiłku nie śmiało teraz zbraknąć sektu. Ewa nie robiła żadnych uwag, jakkolwiek gnębiło ją i upokarzało, że matka na koszt Wendenburga prowadzi życie tak zbytkowne.

Co wieczór Szarlotta wychodziła na kilka godzin. Wtedy pani Krauze przychodziła do Ewy na pogawędkę i w prosty, dobroduszny sposób starała się ją rozerwać.

Pewnego wieczora Szarlotta wbrew zwyczajowi wróciła do domu bardzo wcześnie. Ewa się jeszcze nie położyła i zdumiona, spojrzała na matkę, której wygląd świadczył o silnym wzburzeniu.

Zdenerwowana ściągnęła z rąk rękawiczki, nowy drogi kapelusz rzuciła na łóżko, a suknię rozpinała z takim pośpiechem, że rozerwała dżetowe przybranie. Nie rzekła słowa, a oczy jej niespokojnie biegały po pokoju. Mimo szminki i pudru, na twarzy jej uwidoczniało się straszliwe wyczerpanie.

Przez chwilę Ewa obserwowała ją w milczeniu. Następnie wstała, podeszła do niej i spytała:

— Czy spotkało cię coś nieprzyjemnego, czy jesteś niezdrowa?

Szarlotta zaśmiała się sztucznie.

— Dlaczego?

— Przyszłaś wcześniej niż zwykle i...

Szarlotta ironicznie skrzywiła usta.

— Może z tęsknoty za tobą wróciłam wcześniej.

Dziewczyna spojrzała na nią spokojnie i poważnie.

— Wiem dobrze, że tak nie jest. Przy tym wyglądasz na chorą lub bardzo czymś zgnębioną.

Ciemne oczy Szarlotty miotały gniewne błyski.

— Idiotyzm! Czemu mi się tak przyglądasz temi swojemi zimnemi oczyma? Jak gdybyś chciała zajrzeć mi w głąb duszy. Nie mam chyba obowiązku tłumaczyć się przed tobą, dlaczego wracam wcześniej czy później.

Ewa usiadła znów na poprzednim miejscu.

— Wcale tego nie żądam. Zapytałam tylko dlatego, ponieważ wyglądasz bardzo mizernie. Sądziłam, że źle się czujesz i że mogę ci w czymś dopomóc.

— Wzruszające! — szydersko mruknęła Szarlotta. — Nie udawaj proszę i nie sil się na uczucia, których nie okazywałaś mi nigdy.

Ewa zmarszczyła czoło, twarz jej pobladła raptownie.

— Nigdy się nie starałaś rozbudzić we mnie uczucia. A udawać nie umiem.

— Więc nie udawaj też i teraz, jakoby cię obchodziło moje rzekome cierpienie.

— Jeśli drugi człowiek cierpi, zawsze staram się mu dopomóc, chociażbym go nie znała bliżej i żadne mnie z nim nie łączyły węzły. Powiedz, proszę, może się napijesz czegoś orzeźwiającego? A może okład na głowę?

— Dziękuję — chcę się tylko położyć — krótko odrzekła Szarlotta i przeszła do sypialni.

Ewa za parę minut poszła za jej przykładem. Matka leżała z przymkniętymi oczyma, oddychając ciężko i nieregularnie. Powieki jej drżały nerwowo. Ewa poznała, że tamta wcale nie śpi, a tylko chce udawać śpiącą.

W migotliwym świetle świecy, twarz aktorki, z której zmyła szminkę, wyglądała tak mizernie, usta zaciśnięte zdradzały takie cierpienie, że serce Ewy wezbrało współczuciem. Widziała, że matkę trawi jakaś tajona zgryzota i gorąco pragnęła jej ulżyć.

Podeszła do łóżka i chłodną dłonią przesunęła delikatnie po czole matki.

— Mamo, przecież widzę, że cierpisz. Czy istotnie nie mogłabym ci dopomóc? Tak bardzo mi cię żal — rzekła miękko, błagalnie.

Twarz Szarlotty drgnęła nerwowo. Otworzyła oczy i spojrzała na Ewę. Serdeczny ton dotarł widocznie do jej serca i poruszył w nim jakieś struny nieznane. Nagle dwie ciężkie łzy spłynęły wzdłuż jej zapadłych policzków.

Ewa pochyliła się i otarła je delikatnie.

— Mamo, powiedz, co ci jest?

Szarlotta zerwała się nagle, usiadła w łóżku i z wyrazem przerażenia, uczepiła się ramienia Ewy.

— Musisz się stąd wyprowadzić — zaraz jutro... wcześnie rano. Słyszysz? Tu dłużej pozostać nie możesz. Wracaj do Wendenburga, jeszcze raz ci powtarzam. Ty przecież nie masz pojęcia o życiu, nie możesz sobie wyobrazić, jakie ono jest ciężkie. Ja swoje — zmarnowałam, zniszczyłam doszczętnie. Staczałam się coraz niżej i niżej... jakkolwiek się broniłam. A teraz nadszedł koniec.

Ewa gładziła ją po włosach, których rozstrzępione kosmyki padły na twarz Szarlotty. Przerażenie, widniejące w oczach matki, przejmowało ją grozą nieopisaną.

— Mamo, uspokój się, jesteś strasznie wzburzona. Czego się obawiasz? Wszak wuj Wendenburg przyrzekł ci rentę dożywotnią. A jeśli sobie życzysz, to zostanę z tobą na zawsze i rozpoczniemy nowe życie.

— Nie, nie, musisz stąd odejść... zaraz rano. Przyrzeknij mi, że zaraz rano wyjedziesz z Berlina.

— Przyrzekam ci, o ile będziesz się czuć spokojniejsza. Ale teraz staraj się zasnąć i wypocząć, odsuń od siebie te myśli dręczące. Myśl o tym, że nigdy nie będzie ci już grozić niedostatek, wuj zabezpieczy cię przed tym raz na zawsze.

Szarlotta dłonią zasłoniła sobie oczy.

— Za późno, za późno — szepnęła.

Ewa nie zrozumiała.

— Mamo, może ci jednak coś podać?

Szarlotta odwróciła się do ściany.

— Nie, nie, nie chcę niczego. Połóż się tylko i nie zwracaj na mnie uwagi. Jutro się rozmówimy, a potem wyjedziesz najwcześniejszym pociągiem. Teraz spróbuję zasnąć.

Ewa na wpół ubrana położyła się na sofie. Dziwne zachowanie matki przypisywała gorączce. Może to zapowiedź jakiejś ciężkiej choroby. W takim razie nie może przecie wyjechać. Nie może jej zostawić samej i bezsilnej.

Strwożona nadsłuchiwała w ciemności oddechu matki, który był ciężki i nieregularny. Od czasu do czasu przerywany głębokimi westchnieniami.

Ewa przez całą noc ani na chwileczkę nie zmrużyła oczu. Świtało już, gdy zauważyła, że matka wreszcie zasnęła. Wstała cicho i dygocąc

z zimna i niępokoju, przeszła do sąsiedniego pokoju, ubrała się i siadła przy oknie. Oczyma zmęczonymi bezsennością patrzyła bezmyślnie na ruch uliczny. Jakże ciężko i posępnie ukształtowało się jej życie w ciągu ostatnich dni. Czy zazna też jeszcze kiedy dawnej swobodnej beztroski?

Stopniowo budziło się wielkie miasto, coraz potężniej dobiegały jego odgłosy do samotnie czuwającej dziewczyny.

O ósmej pani Krauze, jak zwykle, przyniosła jej kawę i gazetę.

— Dzień dobry! Jakże się pani spało? — szepnęła, by nie zbudzić Szarlotty.

— Wcale nie spałam. Musiałam czuwać tej nocy, bo ciocia coś niezdrowa.

— Boże, żeby się tylko nie rozchorowała poważnie! Zaraz pomyślałam, że coś tam zaszło nieprzyjemnego, gdy wczoraj wróciła tak wcześnie. To się jej jeszcze nie przydarzyło, odkąd mieszka u mnie. Może chwilowa przykrość, o której zapomni przez noc. Ale może też być influenza.

Wypowiedziawszy tę tanią sentencję, gospodyni na palcach wysunęła się z pokoju.

Ewa szybko wypiła kawę, którą pani Krauze przez sympatię dla niej, przyrządzała lepiej, niż dla innych lokatorów. Gorący napój orzeźwił ją nieco i uspokoił. Przejrzała gazetę, poczem z robótką usiadła znów przy oknie.

W sypialni było całkiem cicho. Szarlotta spała mocno po wczorajszym wyczerpaniu. Dochodziła dziewiąta, gdy w przedpokoju rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonka. Zaraz potem Ewa posłyszała wzburzony głos gospodyni i jakiś obcy głos męski. Nie zwracała na to uwagi. Ale w minutę później weszła pani Krauze z twarzą pobladłą ze wzruszenia.

— O Boże, jakże się przestraszyłam! Przyszedł urzędnik z policji karnej i chce się rozmówić z ciotką pani — szepnęła pełna lęku, a tuż za nią wszedł do pokoju pan, który przedstawił się Ewie jako urzędnik policyjny.

— Muszę się rozmówić z panią Szarlottą Grabow — rzekł spokojnie i stanowczo.

Ewa spojrzała nań zdumiona.

— Śpi jeszcze i jest chora. Czy nie mógłby pan przyjść później lub powiedzieć mnie o co chodzi?

Urzędnik bystrym spojrzeniem objął Ewę, a po twarzy jego przemknął lekki uśmiech. Ta młoda osoba nie ma widocznie pojęcia, w jakich sprawach zjawia się urzędnik policyjny.

— Żałuję, ale sprawa w której przychodzę, nie pozwala na zwłokę. Proszę zaraz obudzić panią Grabow.

— Proszę pana, wszak powiedziałam, że jest chora.

— Bardzo mi przykro, ale nie mogę się z tem liczyć. Mam rozkaz uwięzienia pani Grabow i muszę ją zaraz odprowadzić na policję.

Ewa rozejrzała się wokół błędnymi oczyma, ręką uczepiła się poręczy krzesła.

— Czyba się pan myli — rzekła zbielałymi ustami.

— Proszę zbudzić panią Grabow, w przeciwnym razie ja sam będę zmuszony to zrobić.

Ewa spojrzała błagalnie na panią Krauze.

Gospodyni zrozumiała niemą prośbę i odpowiedziała gestem współczucia.

— Tak, tak, dziecino, musi pani zbudzić ciocię. Z policją nie można żartować.

— Ależ na Boga, z jakiego powodu chce pan uwięzić moją matkę? Co ona zrobiła takiego? — wymknęło się Ewie w najwyższym przerażeniu.

— To matka pani? Myślałem, że ciotka? — spytał urzędnik podejrzliwie. Także gospodyni spojrzała na nią zdumiona.

Ewa uważała to w tej chwili za kwestię mało ważną.

— Jest moją matką. Nie nazywałam ją tak, bo aktorka nie śmie uchodzić za starą. Ale proszę mi powiedzieć, za co pan uwięzi moją matkę?

— Nie do mnie należy udzielać tego rodzaju objaśnień. Proszę mi nie zabierać czasu.

Ewa wpatrywała się w niego oczyma osłupiałymi z męki i przerażenia.

— Nie mogła przecież popełnić czegoś złego — wyszeptała drżącym głosem.

Urzędnik niechętnie wzruszył ramionami.

Pani Krauze ujęła Ewę za rękę.

— Dziecinko ,pani tego nie rozumie... Zadawała się podobno z szulerami i wyszły na jaw jakieś oszustwa. Niech ją pani zbudzi, niema rady. W przeciwnym razie może pani także mieć nieprzyjemności z tego powodu.

Ewa cofnęła się jakby jej wymierzono policzek.

— To być nie może, nieprawda! Proszę, niech pan powie, że to nieprawda!

Urzędnik z gestem zniecierpliwienia skierował się ku drzwiom sypialni.

Widząc to Ewa, cała drżąca, przesunęła się obok niego i wbiegła do sypialni. W zdenerwowaniu zostawiła drzwi odtwarte na oścież. Podeszła do łóżka i potrząsnęła ręką Szarlotty.

— Mamo... mamo... zbudź się!

Szarlotta zerwała się przerażona.

— Co jest... czego chcesz?

— Mamo, na Boga... oni mówią, że jesteś oszustką. Przyszedł urzędnik z policji, by cię zaaresztować.

Szarlotta wyskoczyła z łóżka.

— Już... już dziś! — krzyknęła, a twarz jej wykrzywiła się konwulsyjnie.

— Matko, to przecież nieprawda! Ty przecież nie mogłaś popełnić czegoś takiego... Nie mają prawa się uwięzić. To pomyłka, nieporozumienie, nieprawdaż? Ubierz się szybko i wytłumacz to urzędnikowi.

Z gorączkowym pośpiechem pomagała matce wkładać suknię. Ręce dygotały jej, jak w febrze, bo jakkolwiek nie chciała uwierzyć, głos wewnętrzny mówił jej raz po raz: To prawda, prawda, nie żadna pomyłka. Zagłuszała wszakże ten głos, gdyż hańba taka wydawała się jej zbyt potworną, niemożliwą do zniesienia.

Szarlotta trzęsła się cała, kolana uginały się pod nią, a w oczach widniała trwoga bezdenna. Ale nawet w tej ciężkiej chwili nie mogła się wyzbyć granic komedii. Z okrzykiem rozpaczy rzuciła się nagle ku oknu, otworzyła je, z teatralnym gestem wskoczyła na krzesło, by z niego wydostać się na parapet. Zanim Ewa i pani Krauze zrozumiały, że Szarlotta ma zamiar wyskoczyć z okna, urzędnik z zimną krwią pochwycił ją za ramię i wciągnął z powrotem.

— Nie czas teraz na głupstwa — rzekł surowo, zamykając okno.

Szarlotta rozpaczliwie załamała ręce, z jękiem upadła na krzesło i ukryła głowę w ramionach. Chciała za wszelką cenę wzbudzić litość, a może istotnie była bezprzytomna z rozpaczy. Lęk straszliwy ogarniał ją przed więźniem, zwłaszcza teraz, gdy dzięki Wendenburgowi mogła prowadzić życie tak przyjemne, wolne od troski materialnej.

Ewa z szeroko rozwartymi oczyma stała wsparta o łóżko z twarzą obumarłą.

— Więc to prawda? — wyrwał się jej z piersi zdławiony jęk.

Szarlotta zerwała się, jakby smagnięta biczem.

— Byłam w takiej nędzy... nie wiedziałam, co począć. Teraz widzisz, do czego się dochodzi, gdy się niema żadnego oparcia. Chciałam ci oszczędzić tego widoku... dlatego nalegałam, byś wyjechała zaraz rano — wymamrotała bezdźwięcznie.

Ewa patrzyła przed siebie szklanemi oczyma. Stała jak skamieniała, nie mogąc postąpić kroku, gdy urzędnik wyprowadzał matkę. Musiał ją wziąć pod ramię, gdyż chwiała się na nogach. Gdy drzwi się za nim zawarły, Ewa z głuchym jękiem osunęła się na kolana.

Pani Krauze rozmyślnie przedłużała sprzątanie sąsiedniego pokoju, raz po raz zatroskanem spojrzeniem biegnąc ku Ewie. Dziewczyna jak martwa leżała na kolanach, z głową ukrytą w dłoniach. Tylko przebiegające ją dreszcze świadczyły, że żyje i cierpi straszliwie. Nie była w stanie się opamiętać. W głowie jej dzwoniło i huczało: Twoja matka w więzieniu!

Stara kobieta nie mogła patrzyć dłużej na jej katusze. Podeszła do zrozpaczonej.

— Dziecinko, biedactwo moje, niechże się pani uspokoi. Trudno, to się już nie odstanie. No, proszę wstać i opamiętać się trochę. Nie mogę patrzyć jak się pani zadręcza.

Pomogła jej się dźwignąć, a Ewa spojrzała bezradnie w dobrotliwą twarz starej kobiety. Przemknęło jej po głowie: Teraz jestem już całkiem sama i opuszczona. Za chwilę mogę się znaleźć bez dachu nad głową. Spojrzała trwożliwie na panią Krauze.

— Czy mogę jeszcze pozostać u pani, czy mam się zaraz wynosić?

— Dziecko drogie, co też pani wygaduje? Dlaczego miałabym panią wypędzać? Boże wielki, toż nawet ślepy widzi, że pani nie odpowiada za matkę. A ja już dawno wiedziałam, że się to źle skończy. Ale pani przecież nie winna, że ma matkę lekkomyślną. Dość na nią popatrzeć, a wie się, że niema pani z nią nic wspólnego. Proszę zostać u mnie, zanim sobie pani znajdzie odpowiednie zajęcie. Taką opiekę jaką pani miała dotąd... No, lepiej o tem nie mówić. Ale stara Krauze potrafi się panią lepiej zaopiekować.

Ewa bezwiednie przesunęła rękami po swej odzieży, jakby chciała z niej coś strzepnąć.

— Sądzi pani, że matka rychło powróci?

— Nie wiadomo. Jak policja dostanie kogo w swe łapy, to nie tak łatwo się wydostać. A boję się, że matka pani musiała tam porządnie coś przeskrobać, inaczej nie byłaby się poddała tak bez słowa. Wie pani, co mi się zdaje? Ona już wczoraj wiedziała, co ją czeka. Stąd to wczesne przyjście do domu i choroba. Jakiś dobry przyjaciel musiał ją uprzedzić i napędzić jej strachu.

Ewa wiedziała, że pani Krauze odgadła trafnie. I ona zrozumiała teraz, co oznaczało wczorajsze wzburzenie matki. Świadomość winy i lęk przed karą pozbawił ją równowagi.

Gospodyni wysunęła się cicho. Czuła, że lepiej będzie pozostawić Ewę samą, zanim wyładuje się pierwszy jej ból.

— Takie biedactwo! Nawet się nie domyśla, jaka to matka... mruknęła do siebie.

*

Ewa została sama. Długie godziny spędziła przy stole, z twarzą ukrytą w rękach, szarpana rozpaczą.

Dawno już było po południu, gdy weszła pani Krauze.

— Jakaś pani chce się rozmówić. Czy może wejść?

Ewa z trudem podniosła zbolałą głowę.

— Pani? Nie wymieniła nazwiska?

— Nie, ale wygląda na wielką damę. Może to jedna z tych, którym pani przesłała oferty i chce panią angażować. Powiedziała, że przychodzi w ważnej sprawie i musi się rozmówić osobiście.

— Niech wejdzie — rzekła Ewa znużonym głosem, szybko poprawiając włosy.

Do pokoju weszła Maria Herbig. Ubrana była w bardzo pojedyńczy, wytworny kostium podróżny, na głowie miała skromny kapelusz angielski. Wciąż jeszcze ładną i świeżą twarz zwróciła ku Ewie z wyrazem zainteresowania a wyraziste błękitne oczy dobrotliwem spojrzeniem objęły zgnębioną bledziuchną twarz dziewczyny. Przywitały się wzajem skinieniem głowy.

— Czemu przypisać mam zaszczyt odwiedzin pani? — uprzejmie spytała Ewa.

Maria podeszła bliżej.

— Przede wszystkim pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem Maria Herbig.

Nazwisko to nic Ewie nie powiedziało. Nieraz wprawdzie opowiadał Bernard o wuju Frycu i ciotce Marii, jako najbliższych mu po matce, znała też osobiście Fryca, ale chwilowo zapomniała, że nazywa się Herbig. Skłoniła się i poprosiła przybyłą, by usiadła. Siedziały więc naprzeciw siebie, a Maria z głębokim współczuciem patrzyła w łagodną, smutną twarz Ewy. Odrazu uczuła dla niej gorącą sympatię.

— Przyjechałam umyślnie do Berlina, by panią zabrać do siebie. Wiem, że pani poszukuje zajęcia i pewnego zakresu obowiązków. W moim domu znajdzie pani jedno i drugie. Mam dwoje dzieci i duże gospodarstwo, a mnie brak czasu na podołanie wszystkiemu. Byłabym bardzo rada, gdyby mi pani przyszła z pomocą. Czy przyjmie pani moją propozycję?

Ewa, na której przybyła zrobiła najkorzystniejsze wrażenie, podniosła na nią swe smutne oczy.

Och, ja przyjęłabym ją z największą gotowością... Byłoby to dla mnie prawdziwym szczęściem. Obawiam się jednak, że pani cofnie swój zamiar, ponieważ nie mam żadnych świadectw, ani poleceń.

— Wcale nie są potrzebne. Polecono mi panią tak gorąco, że byłabym szczęśliwa, gdybym mogła panią odrazu zabrać do siebie.

Ewa z najwyższym zdumieniem spojrzała w twarz pani, wyrażającą serdeczną życzliwość.

— Czy nie zechciałaby mi pani powiedzieć, komu zawdzięczam to polecenie? Mam tak niewielu znajomych...

— Owszem. Przede wszystkim polecił panią pan Wendenburg, a następnie mój siostrzeniec Bernard Gerold.

Ewa zerwała się nagle i z płonącą twarzą stanęła koło krzesła. Ręka, obejmująca poręcz, drżała lekko.

— Ach, ciocia Maria! Pani jest ciocią pana Gerolda! — wykrzyknęła, z trudem opanowując wzruszenie.

Maria się uśmiechnęła.

— Tak — a jeśli sobie pani życzy, to mogę też być dla pani ciocią Marią. Otóż widzi pani, że nie potrzeba mi innych poleceń.

Ewa powoli osunęła się z powrotem na krzesło.

— Tak, teraz rozumiem — rzekła cicho. — Na polecenie mego wuje chce mi pani ofiarować pobyt w swoim domu. Jest pani istotnie bardzo dobra. Wydam się też bardzo niewdzięczną, ale jestem zmuszona odmówić życzeniu pani. Uczynionej mi łaskawie propozycji przyjąć nie mogę.

— Ale czemu pani nie może? I czemu musi odmówić? — spokojnie spytała Maria.

Ewa splotła palce rąk i zacisnęła je silnie.

— Bo mnie potrzeba pracy, dużo pracy.

— Będzie jej pani miała podostatkiem. Zapewniam panią, że osoby, której mogłabym z zaufaniem powierzyć pieczę nad dziećmi, poszukuję oddawna. Proszę mi wierzyć, że mnie bardzo potrzeba pomocy pani niż pani mojej.

Ewa patrzyła przed siebie w smutnej zadumie. Opamiętała się siłą woli i rzekła stanowczo:

— Mimo wszystko nie mogę z panią wyjechać.

— Co pani stoi na przeszkodzie?

Młoda dziewczyna wstała i znów wsparła się oburącz o poręcz krzesła.

— Dziś rano... uwięziono moją... matkę... za oszustwo i należy do szajki szulerów — rzekła głosem twardym, bezdźwięcznym.

Maria przerażona i zmieszana spojrzała z bólem w drgającą twarz dziewczyny. Gorzki uśmiech, pełen rozpaczliwej udręki, przemknął po ustach Ewy.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 28 marca 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła Św. Krzyża w Warszawie 12.03 „Wesołego jajka" — rewia świąteczna 14.15 Aud. dla dzieci pt. „Cygański mazurek" 14.35 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego 15.35 Słuchow. Brodzińskiego „Wiesław" 16.15 Koncert solistów 17.15 Muzyka taneczna (z Wilna i ze Lwowa) 19.05 III audycja z cyklu „Słynni dyrygenci" „Artur Toscanini i Sergiusz Kussewicki". 20.00 Chór Dana 20.30 „Pan Komarzewski w piekle" — kurant staroświecki (z Poznania) 21.05 „Rycerskość wieśniacza — opera 22.35 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 29 marca 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa 12.03 Poranek muzyczny 14.50 „Śmigus na Kleparowie" — wodewil lwowski 15.30 „Dużo siły, krzepiej mocy, po radosnej wielkanocy" — słuchowisko 16.00 Muzyka polska 16.30 „Panna mężatka" — słuchowisko 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 „Jak zbójnik Smaś pojednał się z Panem Bogiem" — słuchowisko 19.30 Transmisja z Londynu 20.00 Ravel Debussy (płyty) 21.15 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka 21.45 Płyta za płytą.

Wtorek, dnia 30 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Ludowe tańce polskie 15.15 Józef Schmidt i ork. „Dajos-Bela" 16.30 Zespół mandolinistów „Kaskada" (z Wilna) 17.00 Dni powszednie państwa Kowalskich — powieść mówiona 17.15 Koncert kameralny 17.50 „Facecje pana Zery" monolog 19.20 Muzyka lekka 20.15 Chóry pomorskie 21.00 Żarty muzyczne — aud. z Poznania 21.45 Płyty dla znawców 22.30 Portret Przybyszewskiego na tle jego listów — szkic literacki 22.35 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 31 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Mała Orkiestra P. R. 15.15 Trio salonowe Polskiego Radia 16.10 „Świąteczne odwiedziny" — dla dzieci z Wilna 16.30 Najnowsze nagrania naszych tenorów (płyty) 17.15 Koncert solistów 17.50 „Chaos i ład wewnętrzny" — Rozmowa z przyjacielem 19.20 Al. Glazunow: Koncert skrzypcowy a-moll op. 82 19.45 „Neapol i Wenecja" — ojczyzna włoskiej piosenki" — koncert 21.00 Opowieść o Chopinie 21.45 „Dwie Marie Stuart" — słuchowisko historyczno — literackie 22.25 Mała Orkiestra P. R. 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 1 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół średnich 12.03 Koncert ork. salonowej 12.50 „Bogactwa w niedocenianych nawozach" — pogadanka 15.15 Koncert rozrywkowy — płyty 16.35 „Pieśni, kołysanki, serenady" 17.00 Precz z kobietami — felieton 17.15 Ludwik Beethoven: Kwintet 18.30 Muzyka (płyty) 19.00 „Cytryny sycylijskie" — premiera słuchowiska 19.30 „Flaczki przy mikrofonie" — transmisja z baru „Pod anteną" 21.00 21-sza audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich 21.50 Koncert ork. Tad. Seredyńskiego 22.45 Muzyka taneczna (płyty).

Piątek, dnia 2 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Karol Maria Weber (płyty) 15.15 Zespół Stef Rachonia 16.30 Muzyka dla dzieci (płyty) 17.00 „U Eskimosów" — odczyt 17.15 Sonaty skrzypcowe Mozarta: Sonata B-dur K. 5. 454 18.00 Miesiąc propagandy ośrodków Wychowania Fizycznego 18.25 Muzyka (płyty) 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 Fragment operowy 20.00 Nasza marynarka gra 21.00 Koncert klubu muzycznego 21.50 „Babska kuracja" — wesoły obrazek 22.05 „Od sopranu do basu" (płyty) 22.45 Muzyka salonowa.

Sobota, dnia 3 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Śpiewajmy piosenki 12.03 Zespół salonowy Pawła Rynasa 14.30 „Cztery wiatry" — słuchowisko 15.15 Koncert rozrywkowy płyty 16.30 Recital fortepianowy Angeliki Morales 17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie 18.10 Przemówienie kierownika Okręgowego Urzędu W.F. i P.W. (Warszawa) 18.25 Muzyka (płyty) 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą: „Marzanna w wieńcu" 19.30 Mozaika muzyczna 20.10 Zespół harmonistów warszawskich 21.00 Koncert 22.00 Wesoła Syrena — „Wiosna" 22.30 Muzyka taneczna.

HUMOR



Żona: — No, w pięknym stanie przyjeżdżasz do domu, nawet kapelusz zgubiłeś!

Mąż: — Ojoj, z koniem jest jeszcze gorzej, popatrz, on zgubił głowę.

Nieostrożność

Matka: — Przed ośmiu dniami powiedziałam panu X, że w młodości mojej wyglądałam, jak ty.

Córka: — I dlatego już więcej nie przychodzi.

W dziecięcym pokoju

— Maciuś, powiedz mi, co to są papużki?

— Niedojrzałe kanarki!...

Wykorzystał sytuację

Idę wczoraj ulicą — słońce świeci, ciepło, przyjemnie — nagle patrzę, naprzeciw wali pan Kalasanty, mój sąsiad, z wielkim parasolem w garści.

— Panie Kalasanty — powiadam ze zdziwieniem — toż to przecie słońce świeci, dlaczego pan ten parasol dźwiga?

— Ano — odpowiada Kalasanty — bo jak deszcz pada, to go moja stara bierze...

Zwierzenia

Dwie przyjaciółki zwierzają się sobie:

— Wyobraź sobie, ofiarowałam mu majątek i rękę — odpowiada pierwsza.

— No, a co on na to?

— Powiedział, że ręka jest za duża, a majątek za mały.

Powołanie

— Przypominam sobie, że miał pan chłopca, który miał duży talent brzuchomówczy. Co z nim teraz słychać?

— O, on wyzyskał ten talent i bardzo dobrze zarabia.

— Co, występuje w jakim kabarecie?

— Nie, ale pracuje w wielkim sklepie z ptakami i przy jego pomocy właściciel doskonale sprzedaje mówiące papugi.

Przezorny uczeń

Dziesięcioletni Jaś, po skończeniu lekcji, przed odejściem ze szkoły, zapytuje nauczyciela:

— Panie profesorze, czego ja się dzisiaj uczyłem?

— Jak to... co to znaczy, czegoś się uczył? A to dobre! Dlaczego się o to pytasz?

— Bo panie profesorze, w domu zawsze chcą to wiedzieć i dokuczają mi pytaniami.....

Logika

Profesor logiki budzi się w nocy. Jest zupełnie ciemno. Profesor zapala światło, spogląda na zegar ścienny: szósta. Profesor zaczyna rozumować:

— Jeżeli to szósta po południu, to nastąpiła widocznie jakaś katastrofa żywiołowa, połączona z zaćmieniem słońca. Jeżeli szósta rano, to przypuszczenie powyższe też może okazać się prawdą. A więc nie ma ratunku?!

Profesor logiki miał już zamiar zawyć z rozpaczy, gdy w tym uśmiechnął się:

— Istnieje jeszcze trzecia możliwość, że zapomniałem nakręcić zegar i że wskazuje on fałszywą godzinę. Wtedy byłbym uratowany.

I tak było w rzeczywistości.

Dobry przykład

— Moje dzieci — mówi nauczycielka — starałam się wam wytłumaczyć, co to jest poczucie odpowiedzialności. Może który z was da mi przykład?

— Ja, proszę pani.

— No, mów, Stasiu!

— To jest tak. Mnie się teraz oberwały wszystkie guziki od spodni, a został tylko jeden. Teraz ten jeden jest odpowiedzialny za te urwane, żeby mi spodnie nie spadły.

Przezorna małżonka

— Co to? Maszynistka pracuje u ciebie w biurze za ogrodzeniem z drutu kolczastego?

— Ano, tak zarządziła żona moja, zobaczywszy, że przyjąłem przystojną maszynistkę.

Co było przed tym?

— Tatusiu — pyta mały Jasio — a co było przed wynalazkiem radia?

— Co było przed wynalazkiem radia? A no, spokój w domu.

Co lepiej?

— Wiesz, tak mi się życie znudziło, że mam zamiar odebrać je sobie.

— Ależ nie rób tego głupstwa, życie jest piękne...

— Jeden jest warunek, który może mnie od tego powstrzymać.

— Mianowicie?

— Gdybyś mi pożyczył 50 zł.

— Wiesz co, lepiej będzie, gdy odbierzesz sobie życie...

Jedna z zalet

Adwokat dał ogłoszenie, że poszukuje chłopca do posyłek. Zjawia się dorastający młodzieniec.

— Czy lubisz pracować, mój chłopcze? — pyta mecenas.

— Hm, nie bardzo.

— Doskonale! Biorę cię, bo przynajmniej nie jesteś kłamcą.



— Nie zbliżaj się zbyt blisko słonia, Mieciu!

— Nie bój się, mamusiu, ja mu nic nie zrobię.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie